Nr. 3 (47). W Krakowie, w marcu 1912 r. Rok V.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska" w Krakowie i „Polska Liga Narodowa" we Lwowie,
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata roczna 3 kor. — Dla Członków „Straży Polskiej" i „Ligi" **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Czek „Straży Polskiej" ma Nr. 96.953

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Czesław Odrowąż-Pieniążek.** | Adres redakcyi i administracyi: **Kraków, ulica Floryańska L. 1.**

Siedemdziesiąty czwarty Ks. Biskup Krakowski.

Siedemdziesiąty czwarty biskup krakowski objął rządy dyecezyi. Objął je Adam Stefan książę Sapieha w spuściźnie po św. Stanisławie, po bł. Iwonie Odrowążu, po bł. Wincentym Kadłubku, po wielkich, posągowych, zapisanych w dziejach, postaciach. Objął spuściznę kardynała Oleśnickiego, co był arcystrażnikiem i Kościoła i Polski; objął spuściznę po książętach na Siewierzu i w Kościele, co byli książętami z ducha, z miłości ojczyzny; objął spuściznę po Sołtyku, ofierze gwałtu moskiewskiego, po Woroniczu, co Skargę narodowi przypomniał i Skargi wymową do miłości ojczyzny nawoływał, a poezyą podnosił ducha.

Przysłał go na Wawel papież, na życzenie szlachetnego monarchy, a przysłał go, obdarzonego zaszczytem, jakiego żaden z jego poprzedników nie doznał, bo z wyświęceniem na biskupa, przez samego papieża dokonanem. Opromieniła się tym zaszczytem odwieczna stolica biskupia.

A pochodzi z rodu, który się zawsze zapisywał na świetlanych kartach przeszłości ojczyzny; a jest wnukiem tego, co pierwszy dźwigał tę część rozdartej Polski z upadku ekonomicznego, co ją ożywiał z martwoty, na którą dawne rządy ją skazywały; co pierwszym był marszałkiem kraju, gdy zaświtały dzisiejsze szczęśliwe czasy pod rządem austryackim, co wzorem był obywatela i stworzył jakby szkołę rozumnego, uczciwego patryotyzmu.

A wnukiem był po kądzieli tego Lubartowicza-Sanguszki, co miał odwagę powiedzieć, że godności, tytuły i ordery, tylko od królów polskich przyjmować może.

A dziad po kądzieli stryjeczny, ks. Roman Sanguszko, męczeństwem na ciężkiem wygnaniu, opłacił miłość ojczyzny, ofiara Mikołaja I.

Jest siedemdziesiąty czwarty biskup krakowski synem tego, co więzieniem opłacił w r. 1863 gorącą chęć służenia sprawie narodowej.

Przybył do nas ten, któremu papież powiedział: „Cieszę się, że na stolicę biskupią krakowską cesarz Franciszek Józef I. przedstawił mi Ciebie, męża *dello studio, della bontà, ed d esimia pieta*".

Zasiadł na stolicy św. Stanisława, bł. Iwona Odrowąża, bł. Wincentego Kadłubka, na stolicy spiżowych, posągowych poprzedników, książąt kościoła ten, co tak przemówił do wiernych, do narodu:

„Bóg sam wszczepił miłość ojczyzny w duszę ludzką i nauka Jego nie jest jej przeciwna, ale owszem siły i szlachetności jej dodaje".

„Czemże bowiem jest patryotyzm, jak nie wielką miłością idealną swej Ojczyzny, ogółu swej braci związanej w jedno, pochodzeniem, historyą, wspólnymi losami. Czy to nie pierwszy krok, aby wyjść ze skorupy egoizmu, nie rozumiejącego nic poza własnym interesem. Dusza owiana miłością Ojczyzny musi być skora do poświęcenia, aby własny dorobek i zysk umieć złożyć na ołtarzu Ojczyzny".

. . . .

„Aby Ojczyźnie służyć, nie wystarczy tylko zewnętrzne wykonywanie obowiązków, zastosowanie się do praw. Trzeba wejść w głębię duszy, usunąć co szkodliwe, pokierować co pożyteczne. Aby służyć Ojczyźnie, trzeba prawdy w życiu, trzeba ofiary z siebie, trzeba pracy wielkiej, żmudnej, często nie wynagrodzonej ni chwałą, ni mieniem, ni stanowiskiem".

. . . .

„Bez wkorzenienia w miłość Ojczyzny prawa Bożego może łatwo interes, czy to partyjny, czy klasowy, czy osobisty, wziąć górę nad zasadą, a wtedy w imię tego interesu rozgrzeszać będziemy wszelkie środki, bez względu na ich moralną stronę, jak gdyby życie publiczne miało inną etykę, a sumienie publiczne inne normy, niż sumienie prywatne".

. . . .

„Gdybyście myśleli, że z obowiązku mego biskupiego tak do Was przemawiać muszę, gdyby słowa moje nie były dość wymowne, gdybym ja Wam obcy, świeżo do Was przybyły, nie umiał do Waszego przekonania trafić, to, Najmilsi, niech Wam powiedzą duchy tych Wielkich w Narodzie, których tu w naszej katedrze szczątki spoczywają. Niech staną przed Wami ci bohaterzy możnej i świetnej Polski i niech do Was przemówią głosem wielkim, który jak głos spiżowy starego Zygmunta, potężny, niechby zabrzmiał i rozszedł się ponad tą stolicą, ponad pola i lasy i poszedł hen daleko na doliny i góry, gdzie tylko polskie uderzają serca. Powiedziałby on Wam z jakim zapałem, z jaką miłością i odwagą biegli oni, aby orężem, ofiarą mienia i życia bronić swej wiary. Niech Wam opowie młodociana królowa Jadwiga, z jaką boleścią swego serca, łamała ludzkie przywiązanie przed tym Chrystusem ukrzyżowanym, aby je oddać wyższej miłości, nawróceniu całego narodu, potędze swej Ojczyzny. Niech Wam rozerwą swe stalowe zbroje ci rycerze waleczni, aby pokazać jaki ogień wiary w ich sercach się palił, kiedy szli pod Grunwald, na stepy Cecory, lub pod mury Jasnej Góry. Niech Wam zaświadczy ten młody król, idący aż na pola Warny, aby tam śmierć męczeńską ponieść niosąc sztandar Krzyża przeciw pogańskiej czerni".

„Czy my, ich potomkowie, cośmy od nich otrzymali nie tylko krew i kości, ale całą spuściznę ich dzielności i męstwa, czyż śmielibyśmy stanąć koło ich grobowców, zająć ich miejsca w tym przybytku świętym, gdybyśmy w sercu nie mieli tego ognia, co się w ich sercach palił, gdybyśmy w duszy nie mieli tej wiary, która ich unosiła"?

„Świetności i chwały, która ich czynów była owocem, dziś już nie mamy. Zabrano nam ziemię, zabrano prawa. Ale wśród tej strasznej powodzi ocalał skarb święty, jak skała granitowa, unosząca się nad spienionemi falami morza. Pozostała ta wiara święta zawsze tak wszechmocna i dobroczynna".

. . . .

Tak do wiernych, tak do narodu przemówił z kazalnicy Skargi siedemdziesiąty czwarty biskup krakowski.

Powitało go radośnie miasto całe, powitali wierni, powitali dostojnicy duchowni i świeccy, wita go Polska cała z otuchą, radością, nadzieją, że opromienioną stolicę biskupią, przez konsekracyę przez papieża dokonaną, opromieni jeszcze pracą, zasługą, charakterem swoim, sam siedemdziesiąty czwarty biskup krakowski i że go postawią dzieje, po najdłuższych latach obok posągowych postaci jego poprzedników!

Hugo Kołłątaj.

* 1 kwietnia 1750 † 28 lutego 1812.

(*Przemowa prezesa »Straży Polskiej« na Akademii, ku czci Kołłątaja, w auli Uniwersytetu, dnia 28 lutego b. r.*)

Szczęśliwy jestem i wdzięczny, że mi tu wolno uchylić czoła przed czynami Kołłątaja, imieniem „Straży Polskiej". Towarzystwo nasze zaciągnęło się w służbę narodową, nie w barwie tego, lub owego stronnictwa, nie pod hasłem tej, lub owej konfederacyi, jeno pod sztandarem, na którym biały orzeł polski, jeno pod starem hasłem: Bóg i Ojczyzna!

Pracujemy z zasobem ogromu dobrej woli, bo ten w nas jest; z wytrwałością, bo tej każdej pracy potrzeba, a skutecznie o tyle, o ile starczą słabe siły i słabe środki działania.

Te hasła nasze, ta dobra wola dają nam prawo pojawiać się głośno tam, gdzie oddaje się cześć świetlanym połyskom przeszłości, gdzie składa się hołd wielkim ideom, wielkim czynom.

Złożyliśmy hołd Krasińskiemu, wieszczowi o najgłębszej myśli, dziś uchylamy czoła przed Kołłątaja czynami, pełnymi pożytku, którymi służył i usłużył ojczyźnie. A dziwnie się składa. W jednym miesiącu i w jednym roku pojawia się kołyska Krasińskiego i wyrasta mogiła Kołłątaja. Między tą kolebką i tą mogiłą szczególny związek. Czego Krasiński pragnął, co mówił, czego nauczał, to Kołłątaj poniekąd przed nim czynił, dokonywał. Wielkie idee zbawcze wyrosły z onej kołyski, znamienite czyny zasypała mogiła. Idee Krasińskiego wskazują „nabijane światłem drogi", do odrodzenia narodu wiodące, czyny Kołłątaja to odrodzenie podejmowały.

Mógł Kołłątaj „uderzać w czynów stal", bo jeszcze była wolność czynów, bo jeszcze korona polska, acz zachwiana, tkwiła na królewskiej głowie. Polska była u siebie gospodarzem.

Krasiński wyszedł z kolebki w roku klęski, zawiedzionych nadziei, urodził się na cmentarzu naszej niepodległości politycznej, mógł tylko mówić, nauczać, krzepić i utrwalać wiarę, że z cmentarzów niepodległości politycznej, zmartwychwstają narody, jeżeli samobójstwa nie popełniły.

A myśmy go nie popełnili, skoro nas w grób wtłoczono w chwili, gdyśmy żywotności siłę okazali w Konstytucyi 3 maja.

„Nie nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie",

uczy Krasiński, a czyni to Kołłątaj, czy to w „Tow. ksiąg elementarnych", czy jako reformator liceum Nowodworskiego i akademii krakowskiej, czy też pomagając Czackiemu w organizacyi „liceum Krzemienieckiego", czy wreszcie biorąc w opiekę mieszczaństwo i włościaństwo. Podnosić przez oświatę, przez uświadomienie obywatelskie, przez wymiar sprawiedliwości społecznej, uczył wieszcz a dokonać tego usiłował polityk.

Krasiński kazał dźwigać ojczyznę:

„Cierliwością, co gmach ten stwarza z niczego powoli",

a Kołłątaj podejmuje reformy, dąży do nich, jest ich pobudką, po części wykonawcą, zwłaszcza

wtedy, gdy dopatrzył tego, o czem Krasiński mówił:

„Lecz narodu duch zatruty,
To dopiero bolów ból".

A zatruty był duch narodu swawolą, rozkiełznaniem, rozstrojem, rozbujaniem wszelkiego egoizmu. Uleczyć naród mogła przemiana politycznego ustroju, przebudowanie państwa od podwalin. Do tej przebudowy silną przyłożył rękę Kołłątaj. Jeżeli nie twórcą był jedynym Konstytucyi 3 maja, to był przy pracy nad nią robotnikiem najpierwszym, był w niej siewcą myśli i pomysłów, do pracy podniety, a to było: czynem. I wizerunek Kołłątaja, w staropolskim domu, umieszczony między wizerunkami Ignacego Potockiego i Stanisława Małachowskiego. Tam go też umieściła historya.

„A podłość czy pycha,
To jednakie śmiecie"

powiada Krasiński, a Kołłątaj czynem to stwierdził, walcząc z pychą Targowicy, która podłością była. Z pychy się zrodziła, w podłość wyrosła!

„Daj nam o Panie świętymi czynami
Wśród sądu Twego samych wskrzesić ciebie",

modli się Krasiński, a Kołłątaj do owych czynów nawoływa w „Listach do Stanisława Małachowskiego", sam je spełnia w reformach szkolnych i politycznych, i szedł drogą do celu, aby się spełniło, że

„Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!"

Szedł pod Racławice, bo wierzył w racławicką kosę, zbrataną ze szlachecką szablą, gdyż:

„Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud".

Kolebka i trumna niemal równocześnie. I z kolebki i z trumny promienieje miłość ojczyzny, wielka, słoneczna, jednako wymowna słowem i czynem. Właściwość to gorącej, a rozumnej miłości ojczyzny, że jednako objawia się u tych, co ją głoszą, co jej nauczają i u tych, co spełniają czyny.

A dla nas nauka, by uzdrawiać naród, zasilać żywotną mocą, przez pracę w imię wieszcza, że „najwyższy rozum cnota", przez wymiatanie śmiecia, czy podłością jest, czy pychą, przez tłumienie dziś tej wylęgarni stronnictw, które wyrastają nie z potrzeby narodowej, lecz dla nasycania zgłodniałej pychy nowoczesnych konfederatów, żądnych wyniesienia, choćby kosztem hańby Targowickiej.

Z tem i „Straż Polska" walczy, aby się spełniło, że „się rozwidni i na wieki będzie rano!".

Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej.

Trzydzieści lat pracy szczerej, wytrwałej, pełnej zasługi i pożytku, poświęciło Towarzystwo społeczeństwu. Ma prawo do obchodu jubileuszowego, a społeczeństwo ma obowiązek jubileusz ten uczcić.

Najstarsze pomiędzy temi, co oświatę krzewią, co jej strzegą, było dla młodszych przykładem, pobudką, niekiedy wzorem.

Było **pierwszem**, w kraju naszym, Towarzystwem, które podjęło się nieść oświatę między szerokie rzesze ludu, było **jedynem** przez lat prawie dziesięć.

Praca była ciężka, bo zanim można było zasiewać ziarno, musiało się trzebić gęstwinę krzaczystą przesądów, niedowierzania śród ludu i przysposabiać glebę, któraby ziarno uplenić zdołała.

Lud nie dowierzał, nie pojmował dobrej woli pracowników, nie uczuwał jeszcze potrzeby kształcenia się, trzeba było wysiłku, by pokonywać niechęć, bodaj obojętność, zjednywać zaciekawienie, następnie życzliwość i poparcie śród ludu.

Śród inteligencyi zjednywać go nie było potrzeba, bo z gorliwością, poniekąd z zapałem rwała się, by „nieść przed narodem oświaty kaganiec", by „z dusz wypleniać kąkole". Stąd też skupiały się w Towarzystwie gorące serca, dzielne umysły, bez względu na różnice religijne i rozmaitość przekonań politycznych.

Poczęło Towarzystwo zakładać czytelnie; założyło ich pięćset w ciągu lat dziesięciu. Usiłowano też krzewić naukę ogrodnictwa, pszczelnictwa, rolnictwa, zakładania wzorowych ogrodów, robót kobiecych, polskiego języka dla dorosłej młodzieży żydowskiej. Wniesiono do Sejmu petycyę o zniesienie chajderów i o zmianę ustawy szkolnej, aby nauczyciele ludowi mogli być zarazem pisarzami gminnymi. Urządzano przedstawienia i szeregi odczytów popularnych, w Krakowie i na prowincyi, zwłaszcza w roku 1883, jako w dwóchsetną rocznicę odsieczy wiedeńskiej, w roku 1890 z okazyi sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel, w roku 1891, jako w setną rocznicę Konstytucyi Trzeciego Maja i t. p. Pośredniczono bez zysku w nabywaniu książek dla czytelń i bibliotek ludowych polskich, zwłaszcza w Ameryce i ofiarowano im dary w liczbie kilkunastu tysięcy książek.

Ta działalność Krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej znalazła powszechne uznanie, którego wyrazem był w 1890 roku wniosek Komisyi budżetowej w Sejmie o roczny zasiłek dla Towarzystwa, w kwocie 1.000 złr., ponieważ: „sprawozdanie wykazuje rezultaty tak obszerne i doniosłe, że na szczególną uwagę Sejmu zasługują".

Atoli kierunek ideowy Towarzystwa nie był jeszcze jasno zdecydowany. Tymczasem praktyka wykazała, że do ludu polskiego można trafić jedynie zapomocą jawnych i szczerych haseł katolickich. Postanowiono więc ten wyraźny charakter nadać Krakowskiemu Towarzystwu Oświaty Ludowej i zwrócono się o poparcie wprost do Jego Eminencyi Kardynała Dunajewskiego, za którego wskazówką wprowadzono do statutu owe katolickie paragrafy, niezłomnie odtąd wykonywane też w praktyce. Trzeba przyznać, że na to zgodziły się nawet takie żywioły, jak ówczesny członek Zarządu głównego Dr. Warszauer, znany też z dobroczynności, który za taką stanowczą reformą przemawiając, sam konsekwentnie wystąpił z Towarzystwa, jako wyznawca religii Mojżeszowej.

To postanowienie sprawiło, że wielu Członków usunęło się z Towarzystwa, sądząc, że katolicki charakter nada Towarzystwu wybitnie religijny kierunek, z pominięciem narodowego. Skutkiem tego zawiązało się tak wielce dziś zasłużone, tak szeroko rozwinięte Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Była to pomyłka, bo Towarzystwo Oświaty Ludowej nie zaniechało krzewienia patryotyzmu najszczerszego, ale ta pomyłka nie stała się szkodą społeczeństwa, jeno pożytkiem, bo stworzyła nowe Stowarzyszenie, dała narodowi nowego pracownika, nowego pioniera oświaty.

Nie przeszkadzają sobie, nie zawadzają, owszem uzupełniają się i zapisują chlubnie swą działalność w historyi narodu ostatnich dziesięcioleci.

Mimo, że uszczuplone przez rozdział, dodawało Towarzystwo Oświaty wciąż nowe prace do poprzednich. Zakładało biblioteczki przy seminaryach nauczycielskich, tworzyło pierwsze w kraju biblioteki ruchome, wydawało na znaczną skalę książki, zazwyczaj patryotyczne, powieści historyczne i popularne studya z historyi polskiej, urządzało kursy dla dorosłych analfabetów, założyło systematyczną szkołę sług żeńskich na Smoleńsku, z inicyatywy i pod dyrekcyą radcy Jul. Maciołowskiego, dotychczas doskonale funkcyonującą. Objęło teatr ludowy w Krakowie, zorganizowano ruchomy teatr wiejski, a przedewszystkiem pomnażało i uzupełniało czytelnie, urządzało mnóstwo wykładów i odczytów, zawsze tylko naukowych z ideą katolicko polską, a z wykluczeniem jakiegokolwiek politykowania. I nigdy nie poniżyło

W marcu i kwietniu 1863.

(Urywek z pamiętnika, spisanego w roku 1869, dosłownie przytoczony).

I.

Nie małej to trzeba było odwagi, aby przy wybuchu powstania, zupełnie otwarcie niewiarę swą w powodzenie tegoż wyrażać. Młodzież kipiała gorączką — bo młoda, bo ukołysana poprzednim ruchem demonstracyj narodowych, bo sercem patrzyła na sprawy. Starsi zapalali się od młodych, albo milczeli — lecz jednego znałem tylko, w owym czasie, odważnego człowieka w Tarnowie, co niemal płakał, gdy telegramy wieść o powstaniu rozniosły. Był to jeden z adwokatów w Tarnowie, człowiek prawy, głęboko wykształcony, przenikliwy, a nadewszystko rozważny. Miałem często sposobność stykania się z nim przez stosunki, jakie go z moim ojcem wiązały. Niezapomnę nigdy, jak na rozognione głowy kilku nas młodych, na pierwszą wiadomość o wybuchu, rzucił te zimne słowa: „Teraz sprawa Polski, cofnie się wstecz o wiek cały". Niezbyt chcieliśmy rozumieć te wyrazy, przeciwnie wydały nam się chorobliwym objawem bojaźliwego umysłu mecenasa. Nie przestał atoli na tem, ale energicznie odwodził od narażania się na śmierć, wołając na nas: „Gdy moskiewska część Polski w cmentarz się zamieni, niech się ocali choć ten zakątek ojczyzny, ażeby imienia polskiego w grób potem nie zakopano". Gdy wszystko się rwało do działania, mecenas sam jeden studził zapały, wstrzymywał, odradzał i załamywał ręce. Potem dopiero, gdy powstanie coraz szersze przybierać zaczęło rozmiary, zgodził się z niem warunkowo. Nie wierzył w powodzenie, lecz nie wstrzymywał od brania w niem udziału. Dziwna rzecz, że tak zimny człowiek, zdołał przekonać nas młodych, rozgorączkowanych, żeśmy ulegali jego wpływom przez kilka tygodni.

Nastąpiła wyprawa pod Miechów i klęska straszna, przejmująca grozą. Wieść o niej zamiast zabić w nas ducha, przeciwnie zapał podsyciła i już ani myśleliśmy słuchać mecenasa. Miałem śród młodzieży krakowskiej, poległej pod Miechowem, serdecznych przyjaciół i kolegów. Łączyła mnie z nimi w krakowskich szkołach niemal miłość braterska. Prawie wszyscy zginęli. Straszewski, Moszyński, Nowiński, Tomkowicz, Majewski i tylu innych! Oni zginęli już, a ja jeszcze tutaj! Jakiś wstyd mnie ogarnął, pragnienie zemsty owładło, zaciekłość jakaś opanowała — a zdało mi się, że przyjaciele moi wyciągali ku mnie ramiona, że mnie wołali ku sobie i wskazywali w tęczowych blaskach skrzydlate husarskie zastępy, oświałych konfederatów barskich, Kościuszkę pod Racławicami i pułk czwarty piechoty. Tu już żadne nie pomogły refleksye — zginął apetyt, sen powiek nie kleił, gorączka trawiła. Miałem mir u kolegów, a nawet posłuch pewien, zyskany nie jedną pożyteczną dla nich pracą — więc też zebrawszy gromadkę, gorącem słowem przemówiłem do nich i wnet spieszyło nas kilkunastu studentów 8-mej klasy gimnazyalnej na cmentarz, gdzieśmy, na grobie dwóch zmarłych przed rokiem kolegów, wykonali przysięgę walczenia do ostatniej kropli krwi.

Powziąłem zamiar wstąpienia do kawaleryi, więc przedewszystkiem o stosownem uzbrojeniu pomyślałem. Fundusze znalazły się prędko — a jeszcze prędzej były w słomie siennika pistolety, pałasz i sztuciec, przyczem kilk naście funtów prochu i gotowe naboje. W dwa dni po złożonej przysiędze, we trzech wyjechaliśmy w nocy do Krakowa. Koledzy moi: K. i N. zaopatrzyli się także w broń i amunicyę i wszystko to wpakowaliśmy w kufer, a bojąc się zdrady, sami na dworzec zanieśli. Nie zapomnę nigdy, jak nam ręce mdlały od ciężaru, jak co kilka kroków musieliśmy spoczywać, pełni obawy, aby nam kto tych skarbów nie odebrał.

Stanęliśmy wreszcie w Krakowie — pewni, że dość się tam zjawić, aby natychmiast zostać przydzielonym do jakiegoś oddziału i dostać się za kordon.

Złożywszy kufer w domu mej ciotki, zostawiłem u niej mych kolegów — a sam, znając Kraków, poszedłem szukać jakiejś komendy. O rozczarowanie! Odsełają mnie z miejsca w miejsce, nigdzie nic pewnego, wszędzie słowa: „nie wiem, zobaczymy, to do mnie nie należy i t. d." — rzucano jakby na urągowisko, gdy nam pilno było coprędzej zobaczyć obóz i iść na bitwę.

Dwa dni minęły na niczem — trzeciego dnia zachorowałem na jakąś gorączkę, która mnie pozbawiła przytomności na dni kilka. Źródło choroby było moralne raczej, jak fizyczne — bo po dniach dziesięciu, byłem zdrów zupełnie. Obaj koledzy moi, dostali się tymczasem do obozu Langiewicza.

Było to z początkiem marca, Langiewicz stanął pod Goszczą, nadzieje powodzenia i największych niedowiarków przejmowały. Cały Kraków spieszył na granicę do Michałowic, gdzie na komorze orły moskiewskie tarzały się w błocie, a straż polska witała nieopisanym urokiem.

Powozy prywatne, dorożki, omnibusy, wozy wiejskie i tłumy pieszych, spieszyły, wymijały się na drodze przez Prądnik do bliskiej granicy. Organa rządu austryackiego, usuwały się na bok, nikły gdzieś — a napotkane w niczem nie stawiały przeszkody, owszem z największą uprzejmością ułatwiać się zdawały komunikacyę z obozem.

swego sztandaru, nigdy pomimo pieniężnych pokus, acz niezamożne, nie sprzedało swojej godności na popieranie firm i przedsiębiorstw podejrzanych i czerpanie stąd rabatu, lub na dwulicową agitacyę wśród społeczeństwa, celem przysporzenia sobie członków i dochodów.

Prezesami Towarzystwa byli: Jego Ekscelencya X. Biskup Dr. Pelczar, naówczas kanonik krakowski i prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem radca dworu X. Dr. Stanisław Spis, kanonik krakowski i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obecnie jest przezesem p. radca dworu Dr. Bolesław Wicherkiewicz, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Zarządzie Głównym, z różnych sfer złożonych, zasiadali pomiędzy innymi hr. Andrzejowa Potocka, prof. Dr. Kazimierz Morawski; prezydent Krakowa dr. Leo, Dr. Lucyan Rydel, Dr. Stanisław Tomkowicz, poseł Dr. Hupka, X. prałat Dr. Wądolny, dyrektor Dr. Krotoski, dyrektor Zawiliński i wiele równie wybitnych osobistości. Szczególną pracowitością przez lat dwadzieścia zaznaczył się Dr. Antoni Malkiewicz, niezmordowanem organizowaniem oczytów profesor Józef Gancarczyk, pilnem bezpłatnem udzielaniem nauki, w szkole sług żeńskich na Smoleńsku, przez lat kilkaście X. magister A. Leszczyński, kaznodzieja katedralny.

Po roku 1905 osłabła działalność Towarzystwa, skutkiem chwilowych, przemijających niedomagań w Zarządzie, ale przed trzema laty nastąpiło odrodzenie i dziś pracuje z energią i pożytkiem i nowe zjednywa sobie zasługi, pod przewodnictwem Radcy Dworu Dra Bolesława Wicherkiewicza, profesora Uniwersytetu.

W Krakowie dokonano skupienia niedość czynnych Kół miejscowych: panów, pań, akademików i panien w jeden Oddział okręgowy, któremu przewodniczy Dr. Kazimierz Lubecki. Obok tego założono specyalne Koło robotnicze. Oddział krakowski urządził odczyty profesorów Uniwersytetu, lub Członków Akademii Umiejętności, dla publiczności krakowskiej, odczyty popularne w Domu robotniczym; wydał ulotnie parę odczytów wzorowych i stosowne widokówki, postarał się o urządzenie kilku biblioteczek w różnych instytucyach katolickich, a zwłaszcza o założenie publicznej wypożyczalni samegoż Towarzystwa, liczącej około 2.000 tomów, a kierowanej przez profesora Gancarczyka. Urządził uroczysty wieczór patryotyczny w Starym Teatrze w Krakowie, i zajął się żmudnem urządzeniem kilku tysięcy obchodów w rocznicę Grunwaldu i Konstytucyi, po wszystkich czytelniach Towarzystwa.

Równocześnie pod przewodnictwem X. Andrzeja Mytkiewicza zaczęła sprężyście działać Komisya organizacyjna, żądając sprawozdań, przeprowadzając kontrolę i lustracyę, zakładając lub wspierając po paręset czytelń rocznie, a szczególnie tworząc silne oddziały okręgowe, których szybki rozrost w kilkunastu miejscowościach skłonił też Tarnowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej, że za sprawą swego prezesa X. profesora J. Kalicińskiego, przystąpiło do Towarzystwa, jako Oddział okręgowy. Tymi sposobami w jednym roku 1901 przybyło tysiąc paręset nowych członków.

W tymże okresie spełniło się dawne życzenie Towarzystwa, aby wydawać własne czasopismo. Wychodzi ono od stycznia 1910 roku jako obszerny kwartalnik pod tytułem; „Oświata Ludowa", pod naczelną redakcyą Dra Kazimierza Lubeckiego, wice-prezesa „Straży Polskiej", a zawiera zasadnicze artykuły oświatowe i biuletyn Towarzystwa. Z innych wydawnictw należy wymienić przynajmniej prześliczne „Treny" X. Józefa Morelowskiego, pisane w roku ostatniego rozbioru Polski 1795, a prawie nikomu dotąd nie znane, mimo swojego artyzmu i tej ważnej cechy, że są jedynym współczesnym wyrazem literackim naszej najboleśniejszej tragedyi narodowej.

Jeszcze parę dat statystycznych w okrągłych cyfrach. Krakowskie Tow. Oświaty Ludowej ma obecnie członków 3.000, czytelń 1.500, książek 590.000, czytelników 150.000, funduszu 7.000 koron.

We wszystkich objawach życia religijnego, narodowego i kulturalnego bierze czynny, obywatelski udział.

W tym roku jubileuszowym trzydziestolenia, składamy Towarzystwu wyrazy wdzięczności za pracę narodową.

KRZYSZTOFORY.

Ze śmieszną nieraz przesadą powtarza się frazes o „Wielkim Krakowie". Zapewne, że przyłączenie gmin sąsiednich może być, a zapewne i będzie korzystne dla rozwoju miasta, ale rozległość obszaru daje miastu swobodę rozrastania się w przyszłości, lecz nie zniewala go do burzenia przeszłości.

A u nas dziwna pojawia się nielogiczność. Zamiast rwać się na nowe obszary i tam nasycać spekulacyę budowlaną, czynimy zamachy na odwieczne, pamiątkowe budowle, aby je burzyć, przeistaczać.

Kraków nie rozległością nabrał znaczenia, lecz pamiątkami, świadkami jego starożytności, zabytkami, pozostałymi po wiekach jego królewskiej powagi.

Że miasta przeistaczają stare budowle, lub nowe na ich miejsce stawiają, to rzecz zwykła, ale przeistacza się, lub burzy budowle bez znaczenia historycznego, bez wartości pamiątkowej.

U nas pojawia się gorączka zacierania pamiątek, taż sama gorączka, co zburzyła stary ratusz na Rynku, co zwaliła baszty o niemałej wartości archeologicznej.

I owszem! Odnawiać można i potrzeba pamiątkowe budowle, ale bez zacierania ich pierwotnego charakteru, z zachowaniem pietyzmu dla przeszłości, jak przebudowano Sukiennice.

Rozwalać stare, historyczne gmachy, aby na ich miejscu wznosić banalne domy, byle zysk z czynszów był większy, to krzywda dla miasta.

Gdy się to rozwielmożni, to Kraków będzie obszarem wielki, ale znaczeniem i wartością mały.

Na targowicę bezwzględnej spekulacyi rzuca się pamiątki dziejowe, pamiątki nawet rodzinne; albo też brudną szacherką, a podstępną, oddaje się je na zniszczenie.

Poszedł na targowisko Pałac Spiski. Spuściznę po starych karmazynach, ich niegdyś siedzibę, potomkowie pozwolili zamienić na schronisko tuzinkowych, jarmarcznych widowisk i na podrzędny, dwuznaczny hotel.

W starych, senatorskich komnatach rozsiadło się urągowisko przeszłości!

Ostatni nabywca Pałacu Spiskiego może uszanuje powagę gmachu.

Teraz, sąsiednie z Pałacem Spiskim, Krzysztofory idą na poniewierkę, a może i na zagładę.

Znaleźli się ludzie o poważnych i poważanych nazwiskach, co ten stary pałac nabyli. Otucha wstępowała w serce, że nie zmarnieje ten gmach, związany z dziejami, świadek i pomnik dziejów, legendami otoczony, w podaniach ludowych upamiętniony.

Aliści owi ludzie nabyli go nie dla siebie, nie dla zachowania go od zniszczenia, jeno dla zysku, na handel.

Wieść rozchodzi się ponura, że Krzysztofory mają być zburzone, a spekulanci obcego pochodzenia, z pruskim kapitałem, zamierzają zbudować nowe domy, zyskowniejsze.

Czyż zarząd miasta niema mocy, prawa i sposobu na to, by chronić charakter Krakowa od zbanalizowania? Czyż zarząd miasta nie docenia wartości dziejowej pałaców miejskich?

A mury Krzysztoforów mówią do nas echem wieków.

Żandarmerya i urzędnicy na komorze granicznej austryackiej, bynajmniej nie wzbraniali transportów broni i żywności do obozu, jakby nie wiedząc o niczem i niczego nie widząc. W Krakowie jeno na głównej strażnicy widać było żołnierzy, zresztą cała załoga, jakby internowana w koszarach, nie pokazywała się nigdzie. Oficerowie nawet, na Podgórzu obrali sobie miejsce schadzek i zabaw, nie pokazując się w mieście.

Dziwny istotnie był wówczas widok Krakowa; rynkiem i ulicami snują się gromadnie, jak najswobodniej tłumy młodzieży, często nawet uzbrojone. Fizognomia ich rozmaita; obok pełnej zapału, szlachetnej twarzy, ponura jakaś postać o niewyraźnem obliczu; obok młodziuchnego, siwobrody powstaniec i śród przyzwoitej podstawy i powierzchowności ludzi, obdarta zgraja podejrzanego patryotyzmu. Z pewnością żadna, największa nawet armia, nie nastręczała tyle materyału dla malarza i psychologa, co te gromady tak różnolite. W armii, pod strychulcem regulaminu wojskowego i munduru, zacierają się cechy indywidualności — tutaj przeciwnie: każda indywidualność znalazła najzupełniejszą swobodę, aby się ujawnić i rozwinąć właściwym sobie sposobem. Ztąd też były tu modele bohaterów i karykatury; Bayardów nie mało i Don Kiszotów wielu — ogół poczciwy wiarą i zapałem.

„Langiewicz dyktatorem!" rozbrzmiało 10-go marca po mieście i ukazały się odezwy. Z całego niemal kraju spieszono powitać widomą władzę walczącego narodu.

Ojciec mój, dowiedziawszy się o mem zniknięciu z Tarnowa, a zawiadomiony przez ciotkę moją, że u niej znajduję się chory, przybył do Krakowa czemprędzej. Oczywiście opłakawszy me losy, serdecznie ubłogosławił, pomnąc, że sam roku 1831 bił się pod Grochowem w 2 pułku strzelców konnych. Już miałem wyzdrowiony spieszyć do Goszczy, gdy zjawia się u mej ciotki, dawny nieboszczyka wuja i ojca mego przyjaciel, były kapitan wojsk polskich z 30 r. ś. p. Erazm Skarzyński, obecnie pułkownikiem mianowany, i opowiada, że z polecenia dyktatora formować będzie gwardyę dyktatorską, jako zawiązek wojsk regularnych. Ojciec mój, wierzący jako dawny żołnierz, tylko w armię zorganizowaną, stara się wpłynąć na mnie, bym się teraz do obozu nie udawał, jeno do nowej formacyi zaciągnął. Jakoż nazajutrz byłem pierwszym, który się zgłosił pod rozkazy ś. p. Skarzyńskiego. Nie zapomnę, jak pułkownik zmierzywszy mnie od stóp do głowy, zawołał: „prostuj się, postawa dobra, oczy w górę, włosy krótko". Czemprędzej też pospieszyłem do fryzyera, by włosami krótkimi zdobyć sobie charakter rekruta.

W godzinę po mnie lista zapełniać się zaczęła i, zaraz po mojem nazwisku, znalazło się nazwisko Leona K. syna radcy sądowego, Niemca. Sam ojciec go tu wpisał z obawy, aby Leonek nie uciekł bez jego wiedzy. Do wieczora już przeszło 20-tu było ochotników, sama młodzież szkolna z uniwersytetu i gimnazyów, przeważnie rozbitki z Miechowa. Nazajutrz rozpoczęliśmy już mustrę, w tak zwanej Szarej kamienicy, będącej własnością naszego pułkownika. Olbrzymich rozmiarów sklepienia parterowe, rzadką kolumnadą filarów rozdzielone od siebie, służyły nam za wyborny plac mustry. Pułkownik nasz, jakby na Saskim placu dla księcia Konstantego mustrował żołnierzy, układał postawę naszą, prostował, uczył chodzić, zwracać się, słowem mustra rozpoczęła się formalnie tak zwaną „szkołą żołnierza". Bardzo prędko mnożyły się nasze szeregi: w kilka dni było nas około stu, po większej części przyjaciół, kolegów, znajomych.

Gdyśmy się cokolwiek poduczyli obrotów i nabrali postawy, pułkownik rozkazał nam uczyć się regulaminu i zdawać z niego egzamin. Udało mi się szczęśliwie, że pierwszy go zdałem i otrzymałem nominacyę na podoficera. Wkrótce otrzymali tę rangę przyjaciele moi ś. p. Emanuel Starkel (zmarły jako dr. medycyny w Tarnowie), Dąbrowski, Paleczek i inni. My też pierwszymi byliśmy oficerami, a wszyscy z Tarnowa i jego okolic, co w ogromną dumę wbijało naszych Tarnowiaków. Do dalszego awansu potrzeba było umieć tę część regulaminu, która o „szkole batalionu" traktowała — a że jakoś więcej miałem skłonności do praktycznej, niż teoretycznej żołnierki, nie kusiłem się o egzamin i na stopniu podporucznika pozostałem, gdy tamci dobili się porucznikostwa. Mieliśmy już i kapitanów, dawnych wojskowych austryackich, jak S. W. i t. d. Gdy liczba oddziału naszego wzrastała, podzielono nas na kompanie, plutony, sekcye. Kompania liczyła 100 ludzi, kapitana, porucznika i dwóch podporuczników, a dzieliła się na dwa plutony po 50 ludzi. Prawe skrzydło zajmował kapitan, lewe porucznik, podporucznicy dowodzil plutonami. Plutony dzieliły się na sekcye po 10 ludzi, licząc w to podoficera, który nią dowodził.

Miałem pierwszy pluton pierwszej kompanii, a w nim przeważnie obcą, nieznaną mi młodzież. Pamiętam, jak przybył Staś P. z Tarnowa, wychuchany, wypieszczony mamin synek i zaraz dostał się do mego plutonu. „W lewo zwrot!" zakomenderowałem raz plutonem, aby przypatrzyć się, czy fryzury są według regulaminu. Wszystko było w porządku, tylko Stasiowi P. bujne blond loczki na kołnierz spadały. Oczywiście musiał się pozbyć tej ozdoby, ale tak jakoś wziął sobie to do serca, że, poprosiwszy o urlop, pojechał do Tarnowa na skargę do matki. Matka spotkawszy raz mego ojca

Była to jedna z największych, jedna z najpiękniejszych kamienic w Krakowie. Zwano ją „Krzysztoforami“ dlatego, że na niej był umieszczony posąg św. Krzysztofora, niosącego Pana Jezusa. Przemieszkiwali tu niekiedy biskupi krakowscy, jak Trzebicki, Sołtyk, więc zwano też Krzysztofory „pałacem biskupim“.

Właścicieli zmieniały często. Posiadali je bądź poważni mieszczanie krakowscy, bądź szlachta. W XVI wieku właścicielami byli: Paweł Koślina, mieszczanin, fundator kaplicy św. Pawła w kościele N. P. Maryi, Morsztynowie, Doraus z Korniowa. W XVII wieku nabył „Krzysztofory“ Adam Kazanowski, marszałek nadworny, ulubieniec królów Władysława IV. i Jana Kazimierza.

Mimo, że były teraz rezydencyą pańską, mieszkali w nich mieszczanie, jak n. p. w r. 1622 aptekarz Kin Kasper. O nim to wspominają zapiski kronikarskie, że w roku 1633, w czasie składania hołdu przez mieszczan Władysławowi IV. dostarczył „marcepanów i rzezanych papierków i konfektów“.

Spadkobiercy Adama Kazanowskiego sprzedali „Krzysztofory“ Wawrzyńcowi Wodzickiemu w roku 1683, i w rodzinie Wodzickich pozostawały do XVIII. w. Teraz kupił je ks. Kajetan Sołtyk, biskup krakowski za 100.000 złotych polskich i tu przemieszkiwał, powróciwszy z wygnania do Kaługi, dokąd go Moskale, z niepodległego państwa polskiego wywieźli.

Po śmierci ks. biskupa, odziedziczył „Krzysztofory“ bratanek Stanisław Sołtyk, rotmistrz kawaleryi narodowej i podstoli koronny, ale sprzedał je w r. 1790 za 68.000 zl. Jackowi Kluszewskiemu, fabrykantowi powozów i fortepianów, przedsiębiorcy ruchliwemu, który tu i teatr teraz założył.

Kluszewski sprzedał „Krzysztofory“ w r. 1835 wdowie, Apolonii z Brzezińskich Jankowskiej za 200.000 złp. W r. 1836 nabył je wnuk Kluszewskiego, baron Rastawiecki i sprzedał je w r. 1843 kupcowi Janowi Walterowi za 120.000 złp.

A teraz??

Znane są legendy o „Krzysztoforach“, mianowicie o narodowym skarbie, ukrytym w zaczarowanych piwnicach, o słudze Twardowskiego, który, codzień w południe, spuszcza się na pajęczynie z obłoków przed Krzysztofory; o kucharce z obciętą nogą.

Ale nietylko podania ludowe wiążą się z „Krzysztoforami“, wiążą się z niemi iw spomnienia dziejowe.

Po abdykacyi, przed wyjazdem do Francyi, mieszkał tu w r. 1668 król Jan Kazimierz. W r 1671 przebywał tu przez dni dziesięć król Michał (Wiśniowiecki) z żoną, arcyksiężniczką austryacką Eleonorą.

W r. 1768, po zajęciu Krakowa przez Moskali, zakwaterowano tu znaczny oddział żołnierzy rosyjskich. Usłyszeli coś o ukrytych skarbach i zaczęli ich chciwie poszukiwać. Nie lękali się owego dyabła, który ma stać na ich straży i zeszli do piwnic. Aż w siódmej z rzędu znaleźli kilka antałków starego wina i tak się niem uraczyli, że ośmiu trupem padło na miejscu, a kilkunastu zaledwie wyczołgać się z piwnic zdołało.

Komenda wojskowa rosyjska oświadczyła, że wino musiało być zatrute, więc rządcę domu osmagano knutami, a na właściciela, nieobecnego w Krakowie, nałożono kontrybucyę wojenną.

W roku 1772 podczas oblężenia konfederatów Barskich w Zamku, przez wojska moskiewskie, mieszkał tu i hucznie się zabawiał smutnej pamięci hetman koronny Branicki.

W r. 1782 goszczono tu, imieniem króla Stanisława Augusta, carewicza Pawła (który potem, jako cesarz, oswobodził Kościuszkę z więzienia). Carewicz wracał z podróży po Europie, z żoną i licznym orszakiem przybocznym, pod przybranem nazwiskiem hr. du Nord. Z polecenia króla Stanisława, przybył z Warszawy jenerał Konarzewski, aby carewicza przyjmować. Jazda narodowa tworzyła podwójny szpaler na Rynku, aż do „Krzysztoforów“, a tym szpalerem, przy blasku pochodni, wjeżdżał carewicz do „Krzysztoforów“, otoczony polskimi i rosyjskimi oficerami.

W roku 1787 mieszkał tu kasztelan wojnicki Ożarowski i u niego był na obiedzie 18 czerwca 1787 r. król Stanisław August, gdy przybył zwiedzać Kraków.

Uderzył trzeci grom w Polskę, grom trzeciego rozbioru. Kraków dostał się w r. 1796 pod rządy austryackie. Z wielką pompą wojskową wjechał do Krzysztoforów 27 kwietnia, w sześciokonnej karecie, wielkorządca austryacki Margelik, w złotolite suknie przybrany. Tegoż dnia odbyła się instalacya nowych rządów i zawieszenie na kamienicy austryackiego orła, bo tu była siedziba gubernatora, tej nowej części Polsce zabranej.

W południe przyjmował gubernator wspaniałym obiadem dostojników wojewódzkich i miejskich. Na ratuszu raczono zadarmo tłumy pospólstwa zimnemi potrawami i węgierskiem winem. Wieczorem, w Sukiennicach, rzęsiście oświetlonych, był koncert muzyki wojskowej, a potem nastąpiły tańce, które rozpoczął radca guberuialny Baum polonezem. Tańce trwały do 4 rano.

Nadszedł rok 1809. Wyzwolenie z pod rządów austryackich, okres Księstwa Warszawskiego. Krzysztofory były siedzibą nowych władz.

Minęła epoka wolnego niepodległego miasta Krakowa, czyli t. zw. Rzeczypospolitej krakowskiej istniejącej od r. 1815 do 1846.

Wracają rządy austryackie i urządzają w Krzysztoforach koszary wojskowe w r. 1846.

W r. 1848 były siedzibą Komitetu narodowego w czasie rewolucyi, i tu przez kilka godzin więziono naczelnika rządu austryackiego barona Kriega.

Czyż nie można utrzymać tych murów? Czyż nie można odnowić ich tak, jak to uczynił wiceprezydent Szarski ze „Szarą kamienicą“? Czyż koniecznie mają być rozwalone na korzyść spekulacyi, pruskim kapitałem zasilonej?

„Hańba narodom, co swoje mordują proroki“ — ale hańba też miastu, co w bagnistą chciwość bezwzględnych spekulantów pozwala rzucać pamiątki wiekowe.

Niech na straży Krzysztoforów stanie honor miasta i poczucie, że Kraków wielki starymi murami, a nie wandalskiem burzycielstwem.

(w. ż. k.)

Błędne koło.

Przemysł rodzimy narzeka, że nie doznaje należytego poparcia u kupców i publiczności; kupcy się tłomaczą, że publiczność domaga się obcego wyrobu; publiczność głosi, że wyroby swojskie są nie dobre.

Wszyscy upierają się przy swojem, ale do uporu skłania nie istotny stan rzeczy, nie myśl głębsza, nie rozwaga, jeno obojętność dla sprawy narodowej, jeno złe pojmowanie własnego interesu, jeno nałóg, nawyk bezmyślny hołdowania cudzoziemczyźnie, lub niedorzeczna próżność, że się ma wyrób „paryski“, „londyński“ i t d.

Rozpatrzmy się w tem błędnem kole

Przemysł nigdzie, w żadnym kraju, w żadnej epoce dziejów, nie pojawił się odrazu w doskonałej formie, jeno przechodził przez ewolucyę, jak wszystko, co człowiek podejmuje i czego dokonywa. Do rozwoju przemysłu potrzeba, prócz kapitału, odpowiedniej inteligencyi i dobrej woli, także opieki społecznej. Gdy w XVIII w. rozpoczęto w Niemczech wyzwalać się z pod przewagi i nacisku, po części nawet z pod monopolu, przemysłu francuskiego i angielskiego, monarchowie niemieccy, jak cesarzowa Marya Teresa, Fryderyk Wielki, król pruski, a za nimi inni książęta niemieccy, z całą

---

zawołała: „Ach mój Boże, co ten syn pański zrobił z mego Stasia! obciął mu takie śliczne loki, tak mu w nich było do twarzy“ — a potem już, jak mi się zdaje, Staś opłakiwał loki, lecz do powstania się nie przyłączył.

Dzielnego miałem kolegę w Liberacie Zajączkowskim. Był szeregowcem, lecz nie zazdrościł nikomu stopnia, owszem służbisty, akuratny, jak stary żołnierz, był poza służbą cenionym i upragnionym towarzyszem, a wzorem wytrwałości i poświęcenia, dla całego mego plutonu.

Trudno to dziś przywołać pamięci wszystkich i wszystkim słówko poświęcić, więc błądząc w tej chwili myślą po koleżeńskich szeregach, witam was co żyjecie — a serdeczną pamięć ślę na mogiły poległych i zmarłych.

Porucznicy otrzymali rozkaz, gdy już nie można było swobodnie odbywać dalszej mustry w sklepieniach, aby pod gołem niebem musztrowali plutony. Jedni znaleźli miejsce na rozległych błoniach krakowskich, inni po ogrodach, a mnie się dostał ogród strzelecki. Gdy raz manewrowałem plutonem, zjawia się mój ojciec i nie zapomnę, jak się odzywa: „Dzielnie, dobrze, to jakby na Saskim placu“ i łzy starcowi zabłysły w oku, a jakby uniesiony dawnych lat wspomnieniem, zakomenderował: „formuj front“ — i rozsypany w kupki mój pluton, w mgnieniu oka tworzył prostą, wyciągniętą linię.

Mogłoby się zdawać, że to była niestosowna zabawka, a jednak sądzę, iż wszyscy koledzy podzielą ze mną to zdanie, że owa szkoła była nam wielce później użyteczną, bo wlała w nas ducha karności żołnierskiej i żołnierskiego porządku, a na polu bitew, była nam wielce przydatną.

Rzecz dziwna, że pobłażliwość ówczesna władz austryackich do tego posuwała się stopnia, iż żadnej nie mieliśmy przeszkody w schodzeniu się i odbywaniu mustry, chociaż „Szara kamienica“ znajduje się w rynku, niemal na przeciw strażnicy wojskowej, a manewrom naszym po ogrodach i na błoniu, policya i wojsko przypatrywały się ciekawie.

Gdy się tak musztrujemy, nastąpiła klęska, upadek i przejście dyktatora na terytoryum tutejsze. Cios to był okropny, łamiący ducha, do rozpaczy wiodący. Śmiechowski stanął u granicy galicyjskiej — wojsko austryackie wymaszerowało silnymi oddziałami na przeciw niego i wnet ujrzeliśmy kolegów, ostrzelanych już w boju, pod strażą żołnierzy austryackich. Umieszczono ich w krytej ujeżdżalni pod Kapucynami. Co żyło, cisnęło się, by nieść pomoc, obaczyć, lub uprowadzać powstańców. Kobiety niestrudzone, cisnęły się tłumnie, nie bacząc na połysk bagnetów straży i licznych oficerów. Oficerowie na wszystko patrzyli przez szpary i widząc, jak z ujeżdżalni wychodzi brodacz, z osłrogami, któremu znajoma ręka zarzuciła spodnicę na nogi, mantylę na plecy i baszlik na głowę, — śmiali się serdecznie dozwalając na wszystko. Ujeżdżalnia w kilka godzin, niemal zupełnie była pusta. Udałem się pomiędzy rozbitków z ojcem, ciotką i kuzynką — aby nieść pomoc, jakiejby potrzebowali. Młody jakiś blondyn prosi, aby go koniecznie wyprowadzić. Ojciec mój wszedł pomiędzy oficerów i zagadał ich, a tymczasem kuzynka moja, podawszy przyniesioną toaletę damską owemu blondynowi. po chwili wychodzi z nim, jakby z kobietą. Gęsta woalka twarz mu zasłaniała, więc nawet nie wiele zwracał uwagi, lecz na nieszczęście zaplątał się w spodnicę i przewrócił najniezgrabniej. Spostrzegł to jakiś oficer kawaleryi i śmiejąc się zawołał: „un peu plus prendre garde madame“.

Myśmy najboleśniej uczuli upadek Langiewicza, bo cała ta nasza szkoła, wydała nam się teraz bez celu. Mundury już przygotowywano dla nas, broń mieliśmy dostać wyborną — więc i to dodawało animuszu. Teraz zawiedzione nadzieje, bo i nierychło będzie można po tej klęsce wyruszyć w pole.

Zebrawszy się oficerowie, udaliśmy się do Skarzyńskiego z prośbą, aby nas czemprędzej sam prowadził za kordon. Pułkownik słabowity niezmiernie, choć okazałej postawy, przytem pochylony wiekiem, z początku nosił się z myślą, by iść z nami, z „ukochanemi dziećmi“, jak nas nazywał, lecz wkrótce sam uznał, że to niemożebne, gdy reumatyzm dokuczliwie prześladować go zaczął.

Pułkownik miał brata młodszego, niegdyś porucznika piechoty z roku 1830, podobno nawet z czwartaków. Młodszy Skarzyński mianowany majorem, objął teraz komendę nad nami i prowadził dalej dzieło przez brata rozpoczęte. Postępowanie jego atoli nie zupełnie taktowne i inne okoliczności były powodem, że oddział zaczął się demoralizować, karność się rozprzęgała, oficerowie usuwali od subordynacyi. Zwaliśmy go „lichopem“, bo komenderując „w le—wo“ — tak dziwnie wymawiał i naciskał wyraz, iż zdało się, jakby wołał „li—cho“. Nasze „licho“ tedy nie znalazło miru u podkomendnych — jakoś duch zniechęcenia wiać zaczął w szeregach. Grono oficerów postanowiło raz na zebraniu oświadczyć pułkownikowi, że nie chcą służyć pod majorem. To postanowienie tak mi się dziwnem wydało, tak niezgodnem ze stanowiskiem żołnierza, iż otwarcie powiedziałem kolegom, że do nich się nie przyłączę, gdyż obowiązkiem żołnierza słuchać, a nie sejmikować, i że gdyby władza wiecheć słomiany za komendanta mi postawiła, to będę gotów słuchać go i rozkazy wypełniać.

Wielki powstał gniew na mnie, lecz nie długo potem ochłonęły umysły, kwasy fermento-

usilnością popierali przemysł rodzimy, zrazu nieporadny, niezgrabny, nie mogący współzawodniczyć z francuskim i angielskim. To poparcie sprawiło, że przemysł niemiecki, znajdując coraz większy odbyt, doskonalił się bardzo prędko i w ciągu kilku dziesiątków lat zrównał się z francuskim i angielskim w bardzo wielu gałęziach.

W podobny sposób działo się w Królestwie Polskiem po r 1815. Ówczesny minister skarbu ks. Drucki-Lubecki, postanowił rozwinąć rodzimy przemysł w kraju. Nałożył ogromne cła na wyroby zagraniczne, dokładał ręki do tworzenia fabryk w kraju. Społeczeństwo polskie w Królestwie z zapałem popierało tę sprawę. Pierwsze powozy, pierwsze fortepiany warszawskie, pierwsze płótna w Żyrardowie i t. d nie mogły si[illegible]wnać z zagranicznymi wyrobami, ale społeczeńs[illegible]pobłażało, kupowało i cieszyło się, że grosza za [illegible]ę wyrzucać nie będzie. I oto owe fabryki, zyskując coraz większy zbyt fabrykatu, nader prędko roz[illegible] [illegible]doskonaliły i, po dwóch dziesiątkach lat, wyroby fabryczne Królestwa Polskiego nie tylko zrównały się z zagranicznymi, ale nawet, jak w powozach, w płótnach, stanowczo je przewyższyły.

U nas, w Galicyi, społeczeństwo na ogół płytkie, bezmyślne, bałwochwalczo zapatrzone w Wiedeń i w Niemców, nie daje tej pomocy rozwojowi przemysłu rodzimego, jaką widzieliśmy u Niemców w w. XVIII., a w Królestwie Polskiem od roku 1815, do dziś dnia. Na szczęście władze krajowe i głębiej, rozważniej myślące jednostki, i u nas poparły rozwój przemysłu, a zwłaszcza domowego i, dzięki temu, Galicya na targach i wystawach europejskich odznaczyła się i odznacza znakomicie w kilku gałęziach przemysłu.

Koronki wyrabiane w Rymanowie zyskały sobie uznanie w Anglii i wiadomo, że królowa Wiktorya jeszcze, babka dzisiejszego króla, jedynie naszych, polskich koronek z Rymanowa i Zakopanego do swych sukien używała, a za jej przykładem najmożniejsze panie angielskie. Koronki wyrabiane dziś w Nagawczynie pod Dębicą, zamawia i zakupuje ministerstwo handlu i oddaje do obrotu handlowego towarzystwu „Hausfrauenindustrie“ w Wiedniu.

Kilimki nasze zyskały sobie zakup na równi z dywanami perskimi, ale nie w Galicyi niestety, jeno we Francyi, w Belgii, w Niemczech, a nawet we Włoszech, po części w Danii i Szwecyi.

Kapelusze słomkowe, wyrabiane po wsiach w okolicy Krakowa, zakupuje Praga tysiącami, zaopatruje w podszewki z angielskimi napisami i jako angielski towar, za drogie pieniądze sprzedaje w zdrojowiskach czeskich.

Kłódki świątnickie mają eksport olbrzymi do Wiednia, a jeszcze większy w głąb Rosyi, ba nawet do Japonii koleją sybiryjską.

Wyroby koszykarskie z okolic Krakowa, sprzedaje Wiedeń w pierwszorzędnych handlach, na pryncypalnych ulicach, a nawet sprowadza je Londyn.

Wyroby powroźnicze z Radymna znalazły odbyt nawet do Grecyi.

Zapałki z Sidziny rozchodzą się w ilości 87% produkcyi za granicę, a to na Węgry, do Rumunii, a nawet do Wiednia.

Wyroby blacharskie firmy Bohdanowicz w Krakowie, mają zbyt nawet w Wiedniu i w Lincu, i zasypują całe Węgry, docierają do Czech, a w ostatnich czasach zyskały sobie zbyt w Hamburgu, na konserwy z ryb.

A płótna korczyńskie? a wyroby Ihnatowicza? a wszechstronnie rozwinięty przemysł w Królestwie? i t. d. i t. d.

A osełki z pod Tarnopola mają zbyt w Tybecie, skąd, pod nazwą „tybetańskich“, rozchodzą się po całej Rosyi.

Z tych kilku przytoczonych przykładów wynika, że nasz przemysł rodzimy nie jest nieudolny, że chlubnie z obcym staje w zawody. To, cośmy przytoczyli, opiera się na urzędowych, stwierdzonych dokumentach, wykazach.

Gdzie więc przemysł nasz znalazł poparcie i życzliwość własnego społeczeństwa, tam się rozwinął i rozwija świetnie, ku chlubie kraju

Są gałęzie przemysłu jeszcze w zawiązkach, a więc nie udoskonalone. Tym powinno społeczeństwo zachęty i życzliwej pomocy udzielać, a nie złośliwego szyderstwa, ku radości chyba pruskich hakatystów i moskiewskich nacyonałów.

O ile społeczeństwo ma obowiązek popierać przemysł własny, choćby jeszcze w powijakach będący, o tyle też przemysł powinien energicznie doskonalić się i nie oglądać wciąż żebraczo na pomoc społeczeństwa, ale zdążać do zjednywania sobie zbytu, nie w imię pobłażliwości patryotycznej, jeno w imię wartości wyrobu.

Nie ubliżamy nikomu, nie wskazujemy palcem, ale zapisać musimy w rejestrze ujemnych zjawisk, że bardzo często niedbalstwo i lenistwo, niekiedy lekkomyślność, chciałyby korzystać z przywileju, należnego dzielnemu, poważnie podjętemu, energicznie i wytrwale doskonalącemu się przemysłowi.

Takie ujemne zjawiska szkodzą akcyi uprzemysłowienia kraju, umacniają przesądy, dyskredytują.

To atoli nie usprawiedliwia obojętności, nie upoważnia do lekceważenia, czy bodaj pomijania rodzimego przemysłu wogóle, do uogólnienia nielicznych zjawisk ujemnych.

Kupcy nasi sprowadzają chętnie wyrób zagraniczny, bo go nabywają cokolwiek taniej i w dogodniejszych warunkach spłaty, dlatego nasuwają go i zalecają nabywcom.

Rzecz to stara a znana, że produkt jest tańszy, im większą jest produkcya. Jeżeli więc bezwzględnie biorąc, spostrzeżemy nawet pewną nie wielką zwyżkę w cenach wyrobu krajowego, toż nie usuwajmy się skutkiem tego od nabywania go i używania. Uwzględnijmy, że zwyżka to albo iluzoryczna, bo ją nagradza dobroć materyału, albo nader drobna. Starannie porównując ceny i gatunki, stanowczo orzec można, że w ogóle a przeciętnie, co najwięcej o 2% wyroby krajowe są droższe (i to tylko niektóre). Jeżeli dziś, przy tak małym odbycie różnica w 2% nam się przedstawia, to niezbłądzimy twierdząc, że za poparciem przemysłu krajowego, po latach nie wielu, ceny nie wykazywałyby zwyżki, ale nawet znaczne obniżenie. Czyż to tak wielka ofiara, płacić przez dwa lub trzy lata za towar 1 koronę i 2 halerze, zamiast jednej korony? Pomnijmyż przecie, że te 2 halerze na koronie, zwrócą się nam samym z lichwą, gdy skutkiem wzrosłej konsumcyi wyrób stanieje. A gdyby nawet dopiero później, po latach wielu, to pomyślmy, że te 2 halerze składamy na olbrzymi procent w kasie oszczędności, dla naszych następców, dla naszych dzieci, które w bogatym, przemysłowym kraju znajdą dla siebie dobrobyt, posady dziś nie istniejące, źródła dochodu, dzisiaj nie znane. Pomyślmy sobie, że użyję tu obrazu plastycznego, co następuje. Oto syn zaczyna nauki w szkole. Za lat kilkanaście będzie szukał posady, zajęcia, chleba dla siebie. Urzędy przepełnione, adwokatów mamy podostatkiem, drogi żelazne budują się tylko w pewnych okresach czasu, gdzież znajdzie chleb dla siebie? Jeżeli konsumcya tych wyrobów krajowych będzie się wzmagała szybko, przemysł będzie musiał naturalnym biegiem rzeczy, krzewić się, rozrastać, kraj będzie zasiewał się fabrykami a wówczas nie jeden technik, nie jeden ukończony uczeń szkoły przemysłowej znajdzie byt, stanowisko, a syn ów będzie śród tych nowych pracowników, na nowych stanowiskach. Składajmy owe 2 halerze od korony na kapitał bytu i życia dla synów.

Jeżeli nie kapitałem dla potomków, ale ofiarą te 2% nazwiemy, toż nie bądźmy skąpi w ofiarach

---

wać przestały jawnie, a jedynie za kulisami starano się podkopać stanowisko majora.

Oddział tymczasem niecierpliwił się i rwał do obozu. Niecierpliwsi z naszych przyłączyli się do innych oddziałów, Grekowicza i t. d., które zaledwie stanęły u granicy, napadnięte przez Moskali i rozbite, wróciły do Krakowa. Grekowicz w samą Wielkanoc stoczył bitwę.

Wówczas także zebrał się jakiś oddział pod wodzą Mierosławskiego, a tak jakoś tajemniczo i cichaczem powstał, że nie wiedzieliśmy wcale, kto i jak tam działał. Wieści tylko rozeszły się zaraz, że Mierosławczycy posłali na granicę najpierw wozy z kaszą i słoniną, potem „samokosy“, a wreszcie broń w pakach, nie złożoną. Oddział bez broni skupił się na granicy. Zaczęto gotować kaszę, broń rozpakowywać i składać, w tem Moskale natarli i oddział oddał się w ręce Autryaków. Nie widziałem tych „samokosów“ — ale ogólnie mówiono o tem, że to była maszyna wojenna przez Mierosławskiego wymyślona, podobna do parawanu, ruszającego się na kółkach. W skrzydłach sterczały kosy, połączone wewnątrz parawanu — gdzie ukryty kosynier poruszał niemi i siekał, tocząc przed sobą maszynę, zakryty jej skrzydłami.

Przyznam się otwarcie, że o tem nic pewnego powiedzieć nie mogę, a słowa powyższe powtarzam jeno, jako powszechną wówczas pogłoskę.

Gdy Langiewicz przebywał w Krakowie, na Wawelu więziony, pannie Pustowojtów wyznaczono pokój w mieszkaniu dozorcy więzienia policyjnego, zwanego pod „telegrafem“ — z powodu, że na pierwszem piętrze mieściło się biuro telegraficzne. Rzecz jasna, że tłumy cisnęły się pod okna, aby zobaczyć bohaterkę dni owych, a śmielsi starali się koniecznie dostać do niej, byle choć słowo z ust jej usłyszeć i mieć pamiątkę, że się ją widziało. Posłużyła mi protekcya mego ojca, i dostaliśmy się do więźnia. Dziwnego na jej widok doznałem wrażenia. O ile kilka kobiet, jakie znalazły się później wraz ze mną w oddziałach, przejmowały mnie pewnym wstrętem, o tyle jakaś nieokreślona sympatya pociągała mnie ku pannie Pustowojtów i chociaż bądź co bądź sytuacya jej nie licowała ze stanowiskiem kobiety, do prawdziwego szacunku dla siebie zniewalała każdego, kto do niej się zbliżył.

Powstanie w województwie Krakowskiem osłabło było zupełnie, a dla ożywienia ruchu przeznaczono nasz oddział, na którym wielkie pokładano nadzieje. Było to w pierwszej połowie kwietnia, gdyśmy się wreszcie stanowczo dowiedzieli, że wkrótce wyjdziemy. Musztry nasze ustały już zupełnie, bo zmieniło się postępowanie rządu austryackiego Już wszędzie stawiano przeszkody, aresztowano, zamykano i działalność nasza musiała odtąd tajemnie się rozwijać, kryć przed okiem policyi. Wprawdzie nie tamowano niczego stanowczo i tylko jawności działania stawiano zapory. Oficerskie obowiązki nasze ograniczyły się teraz na wypłacaniu żołdu i utrzymywaniu kontroli nad plutonami, rozkwaterowanymi gromadnie sekcyami.

Wyczekiwaliśmy niecierpliwie rozkazu wymarszu — a znowu zaczęły się sejmikowania, sarkania, gdy naraz wzywa oficerów pułkownik i oświadcza, że rząd narodowy naznacza nam pułkownika Mossakowskiego na dowódzcę i że pod nim pójdziemy w tych dniach za kordon. Jakoż przybył do mieszkania pułkownika nowy nasz dowódzca, gdzieśmy się mu przedstawili. Fatalne wywarł na nas wrażenie. Wysokiego wzrostu, blondyn. oczu przenikliwych, ale niewyraźnego blasku i twarz bez wyrazu, jakby schorzała, głos bez dźwięku — słowem zdał się nam człowiekiem bez ognia, bez życia, bez wiary w siebie i w sprawę, bez energii i rozgarnienia.

Wrażenia, jakich doznałem, zamknąłem w piersi, lecz smętno mi się zrobiło, bo nie czułem w naczelniku najmniejszej wyższości nad sobą i tak mi było, jakbym ja nim, a nie on mną miał dowodzić. Rzecz naturalna, nie wierny zasadzie i pojęciu obowiązków żołnierza, nawet najbliższemu przyjacielowi nie zwierzyłem się z wrażeń doznanych, aby nie osłabiać ducha, nie demoralizować.

Bądź co bądź, cieszyliśmy się bardzo, że skończą się nasze wyczekiwania, tem bardziej — że wśród chaosu ówczesnych opinij, doznawaliśmy nieraz przykrych, bolesnych przymówek. Na pochwałę naszego oddziału powiedzieć muszę, że większość wiodła życie czynne, pracowite. Mimo gorączkowego ducha czasu, mimo oczekiwania i gotowości do wymarszu, młodzież oddziału naszego, w znacznej części uniwersytecka, przeważnie inteligentna, stroniła od włóczęgostwa po kawiarniach, od próżniactwa — a po kwaterach uczyła się, czytywała, jakby jej nie do boju, ale do egzaminów gotować się wypadło.

Jeden przykład posłuży mi tu za ilustracyę usposobienia znaczniejszej części „gwardzistów“, jak nas niektórzy z przekąsem nazywali. Kolega mój ze szkół tarnowskich i przyjaciel serdeczny, Franciszek Piekosiński, zapamiętale poświęcał się archeologii. Galwanoplastyka była dla niego tak namiętnem zajęciem, jakby za cel życia obrać miał sobie odciskanie starych monet, medali, pieczęci. Na dwie godziny przed wyjściem oddziału, widziano go, jak z właściwym sobie słodkim, flegmatycznym uśmiechem zadowolenia, układał swoje zbiory odcisków galwanoplastycznych. Gdy któryś z kolegów wzywał go do pospiechu, odpowiedział:

dla narodu, bo niemi ocalamy honor i byt narodu, bo one ścierają z nas hańbę policzka, jaki nam historya wymierzyła, słusznie zarzucając, żeśmy ojczyzny w bycie politycznym utrzymać nie umieli. Nie skąpmy tych małych ofiar, bo one zaświadczą, że patryotyzm nasz nie był patryotyzmem nerwów, deklamacyi, ale patryotyzmem czynu. Nieskąpmy tych małych ofiar, bo one odkupią grzechy nasze.

Kupcy nasi tak często narzekają na „złe czasy“ i niezawodnie gorączkowo wyczekują polepszenia stosunków handlowych. Niech i oni pomyślą, że stosunki te polepszają się z polepszaniem dobrobytu ogólnego, a na to polepszenie wszyscy pracować musimy. Któż jest odbiorcą kupca? Ziemianin, urzędnik, lekarz, adwokat, przemysłowiec, lub kupiec innej gałęzi handlowej. Ci odbiorcy są zawiśli od dochodów swoich, a tych mają coraz mniej, bo coraz mniej w kraju pieniędzy, skoro je za granicę wysełamy. Niechże kupcy sami starają się sprzedawać wyroby krajowe, niechże z całą energią dołożą do tego ręki, a tym sposobem będą pracowali nad własnem wzbogaceniem. Skoro przemysł krajowy i za ich pomocą się rozwinie, toć przybędzie im odbiorców w osobie nowych fabrykantów, techników, robotników. Pieniądz pozostały w kraju, będzie krążył także śród dzisiejszych odbiorców, adwokatów, lekarzy, ziemian i dostanie się częściej i raźniej do lady kupieckiej. Może na razie ucierpią panowie kupcy, pozbywając się niedorzecznej ambicyi, której ulegają, gdy chwalą się wyrobami „z pierwszorzędnych fabryk paryskich, wiedeńskich, londyńskich“, ale z lichwą zwróci im się ta ofiara próżności po latach kilku, kilkunastu. Niech pierwszorzędne, mające zaufanie publiczności firmy, zdobędą się na odwagę zachwalania rodzimego produktu i podsuwania go publiczności, a publiczność pójdzie za ich głosem. Kupcy, zarówno jak kobiety kupujące, mogą uczynić wyroby krajowe modnymi, nadać im charakter „dobrego tonu“. — Tego wymaga własny ich, dobrze zrozumiany, a nie „na dziś“, ale na przyszłość obliczony interes, tego wymaga od nich naród, jeżeli pragną w nim obywatelskie zajmować stanowisko.

Jak śmieszne niedorzeczne, wprost karygodne uprzedzenie nasze do własnego przemysłu, świadczy drobny szczegół.

Pewien poważny człowiek ze Lwowa, będąc przed kilku laty przez kilka dni w Wiedniu, spostrzegł, w pierwszorzędnym handlu, na pierwszorzędnej ulicy (Kartner Strasse) niezwykle piękny koszyczek, z nazwą „Gisella Korb“. Kupił go za 6 koron. Wracając do Lwowa, zatrzymał się w Krakowie. Przechodząc przez Sukiennice, dostrzega w kramie, tuż przy wejściu od ul. św. Jana, taki sam koszyczek. Zdziwiło go to niezmiernie, zbliża się, przypatruje dokładniej, przekonywa się, że taki sam, jak ów kupiony w Wiedniu, a tylko 2 korony kosztuje.

Zaciekawiony, badarzecz, informuje się i oto pokazało się, że owe koszyki wyrabiają w Śledziejowicach, skąd sprowadza je Wiedeń i po 6 koron sprzedaje, a w Krakowie za 2 korony w kramie dostać je można.

Ów pan, do przemysłu krajowego wielce uprzedzony, stał się potem jednym z najgorliwszych jego opiekunów.

Oby więcej takich było!

Ba! ale groch na ścianę!

„To kupione w Wiedniu!“ a! a! co za radość naszych pań (niektórych). Tożsamo, a taniej kupione w Krakowie, jużby ich nie cieszyło!

Znamy przemysłowca, a dzielnego, zasłużonego prawdziwie. Zdobył dla krajowego przemysłu zbyt w najdalszych krajach Europy, ale sam wydaje tysiące na zakupna.. w Wiedniu! Choćby tandeta, byle... wiedeńska!

Choroba nasza: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“, jak mówi Krasicki. Zaślepienie papugi, co tylko obce słowa powtarzać zdolna, próżność pawia — i wciąż aktualne wyrażenie Słowackiego:

„Polsko! pawiem narodów jesteś i papugą“.

A tymczasem żre, dusi, dławi nas bieda, na którą narzekać umiemy wszyscy, ale do walki staje nie wielu. *Cz. P.*

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Zapałki krajowe. „Liga Pomocy przemysłowej“ otrzymała, od jednej z galicyjskich fabryk zapałek, list ze skargą, że kupcy galicyjscy sprowadzają zapałki całymi wagonami z fabryk pozagalicyjskich. Fabrykanci galicyjscy zamierzają w najbliższym czasie ruch fabryczny całkiem wstrzymać. Obecnie — kończy się ów list — wynoszą moje zapasy zapałkowe przeszło 15,000 000 pudełek.

Kupcy narzekają, zupełnie słusznie, że bez potrzeby czynimy zakupna w Wiedniu, lub we Francyi, mogąc je czynić u siebie w kraju. Powinni atoli kupcy nasi spełniać ten sam obowiązek wobec przemysłu krajowego i nie sprowadzać obcych wyrobów, skoro posiadamy własne.

Opłatki apteczne. Posiadamy ciekawy okaz. Oto kowerta z napisem na zewnątrz: „Apteka pod gwiazdą w Krakowie. Opłatki“. Kowerta wewnątrz ozdobiona obrazkami, przedstawiającymi postać Germanii i chłopca w mundurze pruskim i wypełniona napisami, jak: *„Reichsbriefpapier, gesetzlich geschutzt i t. d.“*

A więc apteka w Krakowie, o firmie tak poważnej i poważanej, sprowadza z Prus opłatki apteczne!? A toć chyba możnaby ich dostać na miejscu w Krakowie, lub postarać się o to, aby je tu wyrabiano.

Zawsze toż samo! Zawsze tani patryotyzm w słowach, a niema go w czynach!

Składnica krajowych wód mineralnych i przetworów zdrojowych. Nie ustający na chwilę w żmudnej pracy, około podniesienia naszych zdrojowisk, „Krajowy związek zdrojowisk i uzdrowisk“, założył we Lwowie ogromną składnicę wód mineralnych i przetworów zdrojowych, pochodzących z polskich zakładów. Myśl ta godna jak najrzetelniejszego uznania, bo może choć teraz apteki drogueryę i pp. lekarze przypomną sobie, że w kraju, w którym żyją, są skuteczniejsze częstokroć przetwory od znanych im tylko obcych.

Pozwalamy sobie tu podać zestawienie, aprobowane przez powagi lekarskie:

Wody szczawnickie zastępują: Bilińską, Fechingen, Giesshübler, Krondorf, Vels, Vichy, Ems, Selters, Gleihenberg, Lubaczowice.

Wody krynickie zastępują: Elsner, Francensbad, Pyrmont, Reinera, Spaa, St. Moritz, Wildungen.

Wody iwonickie zastępują: Dürkheim, Hill, Lippik, Königsdorf-Jastrzemb.

Woda krościeńska zastępuje: Ems, Selters, Luhaczowice, Gleichenberg.

Wody rymanowskie zastępują: Hall, Durkheim, Lippik, Königsdorf-Jastrzemb.

Woda barkucka zastępuje: Elsner, Franzensbad, Reinere, Spaa, Wildulgen.

Sól rabczańska przewyższa: Hall, Dürkheim, Lippik, Königsdorf.

Wody gorzkie z Morszyna, słone z Wysowej, żelaziste z Żegiestowa, odznaczają się bardzo dodatnio w swych skutkach.

Jako najlepsze stołowe, bardzo przyjemne do picia, wyróżniają się: wody z Burkutu, ze Szczawnicy zdrój Stefana, z Krynicy zdrój Karola, z Krościenka zdrój Stefana, z Wysowej zdrój Józefa.

ROZMAITOŚCI.

Niezawodny sposób zabezpieczenia mandatów ruskich. Lwowskie *Słowo Polskie* pisze w Nrze 81: Od wiceprezesa Koła polskiego i posła na

---

— Szkoda czasu, jeszcze przeczytam nie jedno.

To rzekłszy, wziął jakiś psałterz, czy coś innego w rękę i czytał najspokojniej. Sądziliśmy, że sobie żartuje i nie myśli wcale iść z nami. Pożegnano go opryskliwie, jako odstępcę, lecz jakież było zdziwienie nasze, gdyśmy go zobaczyli w obozie siedzącego, pod drzewem i przypatrującego się, z tym samym co zawsze uśmiechem, belgijskiemu sztucerowi, jakby jakiej starożytnej pieczęci. Dzielny to był chłopiec, zawsze wesół, swobodny, uśmiechnięty, a cichy, milczący, ustępujący z drogi każdemu, Gdy wszyscy z umęczenia padali, gdy twarze znękane, smutny grupowały obraz, on zawsze uśmiechnięty, nie zmienił nigdy usposobienia.

Nie powiem, aby wszyscy zupełnie podobni byli do Piekosińskiego, ale to pewna, że uczęszczali na wykłady akademickie, uczyli się, pracowali.

Okoliczność ta, a więcej jeszcze, że od początku marca mustrowaliśmy się w szkole Skarzyńskiego, gdy inni bili się z Grekowiczem, i t. d. była powodem, że nas tu i ówdzie opinia ścigała ironią, cierpkimi żartami. Nie wiem skąd wyszła wieść, ale była dość rozpowszechnioną, że Skarzyński w tym celu urządził naszą szkołę, aby młodzież inteligentną odciągnąć od powstania i zatrzymywać ją w Krakowie. Mówiono, że stronnictwo „białych“ i mieszczaństwo krakowskie, stworzyły tę szkołę, aby zabawiając młodzież, od akcyi ją usuwać. Jak wówczas, tak i dzisiaj wydaje mi się rzeczą niestosowną: przypisywać jakąkolwiek faktyczną podstawę tym pogłoskom. Powstanie wówczas sparaliżowane przez upadek Langiewicza, nie było tak słabe, aby już zupełnie można było obliczyć, iż rychło upadnie; przecie nie na wielu punktach rozwijać się na dobre zaczęło. Skoro więc nie było powodu przypuszczać, że powstanie prędko się skończy, nie można też dopatrzyć się najmniejszego celu, jaki by mieć mogli „biali“ i mieszczanie krakowscy do zabawiania młodzieży. Zabawka raz przecież skończyćby się musiała — a młodzież zniecierpliwiona, czy tak, czy owak, byłaby wcieliła się w jakie bądź inne szeregi. Zresztą szkołę zawiązano w chwili, gdy Langiewicz ogłoszony został dyktatorem, a więc w chwili świetnego powodzenia ruchu, a do tego założono ją na zawiązek regularnej armii.

Przyznam się otwarcie, że strona polityczna akcyi, nic a nic mnie obchodziła, że pragnąłem jedynie jako żołnierz służyć sprawie. Obijały mi się o uszy tysiączne idee, zdania, opinie, gadaniny o Mierosławskim, o „czerwonych“ i „białych“, lecz wówczas nie sądziłem nawet za godne uczciwego człowieka sprzeczać się w tych sprawach i zajmować niemi, gdy tylko bić się należało. Przytem młodym będąc chłopcem, stroiłem sobie powstanie w poetyczne barwy, a wszystko, co tylko styczność z agitacyami polityczenmi mieć mogło, nudziło mnie niezmiernie. Stąd też nie zajmowałem się wcale zmianą osób, u steru władz narodowych będących; staję na stanowisku, jakie wówczas zajmowałem z całą objektywnością to jedynie notuję, com wówczas widział, robił i słyszał — zatem nic prawie o sprawach politycznych powiedzieć nie umiem.

Nawet w łonie naszego oddziału, knowały się jakieś agitacye polityczne, jednak koledzy moi nie wciągali mnie do nich, wiedząc, że chcę być żołnierzem, nie spiskowcem.

Przychodzi raz do mnie kolega porucznik i powiada, że oficerowie nasi postanowili nie przyjmować służby pod dowództwem Mossakowskiego, że mu nie ufają, i że pragną oddać oddział pod dowództwo majora Wierzbińskiego. Opowiedziawszy to, zapytuje mnie, czy się do kolegów przyłączę.

Niemal dosłownie pamiętam odpowiedź, jaką mu dałem:

— Jestem żołnierzem; jak mi każą skakać z wieży Maryackiej, to skoczę. W spiski się nie wdaję, bo to mi zawsze Targowicę przypomina i „liberum veto“. Dobrowolnie oddałem się pod rozkazy Skarzyńskiego, Skarzyński oddał mnie pod rozkazy Mossakowskiego, działo się to w imię rządu narodowego, więc co każe Mossakowski, lub inna osoba z ramienia rządu, to uczynię.

— Jesteś serwilista — odpowiedział mi kolega.

— Ja to nazywam karnością.

— Myśmy padli ofiarą „białych“, a wstyd iść młodzieży za białymi. Skarzyński przecież należy do białych.

— Czarny, czy biały, czy popielaty — tego wszystkiego nie rozumiem, w to się nie wdaję. Polityką niech ci się zajmują, co stoją u steru, na nich za wszystko spada odpowiedzialność; nam wypadło iść, bić się, zginąć, a nie mącić sprawy jakąś konfederacyą, wywleczoną z najsmutniejszych wspomnień przeszłości.

Na tem skończyła się rozmowa — a jakoś kolega mój zgodził się potem ze mną, bośmy się uściskali serdecznie i już potem nigdy nie spiskował.

Drugiego dnia spotykam przed Sukiennicami grono powstańców nieznanych mi, a między nimi porucznika z naszego oddziału, kolegę ze szkół tarnowskich, Dąbrowskiego. Zatrzymał mnie Dąbrowski i poznał z nieznajomymi. Byli to: major Wierzbiński, rotmistrz Miernicki, porucznik Marszałkowicz i podobno kilku innych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sejm krajowy, dla Aleksandra hr. Skarbka otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Otrzymałem następujący list, pisany po rusku, który w tłumaczeniu polskiem brzmi:

Rabusiu ukaińskiego mandatu!

Prusko-polski arcybakatysto!

Kacie ukraińskiego narodu!

W Chinach zwyciężyła rewolucya, a tamtejszy naród przepędził swoich gnębicieli Mandżurów.

Pora i Rusinom wstąpić na tę drogę i przepędzić swoich gnębicieli Mandżurów-Polaków.

W tym celu zawiązał się komitet w sprawie wydarcia Polakom 26 mandatów, jakie oni zrabowali Rusinom na ogólną liczbę 47 wschodnio-galicyjskich ruskich mandatów włościańskiej kuryi galicyjskiego Sejmu.

Przeto wzywamy Was, aby Wy najdalej do 15 marca 1912 r. złożyli zrabowany ukraińskiemu narodowi mandat pisemnie do rąk marszałka kraju. W przeciwnym razie czeka Was pewna śmierć przez zastrzelenie.

Jeżeli Wy cenicie swoje życie, to nie będziecie lekceważyć sobie tego wyroku śmierci, bo kiedy my potrafiliśmy zamordować Potockiego za kradzież 26 sejmowych mandatów, to potrafimy tak samo z Wami postąpić za kradzież jednego mandatu.

Siczyński II.

W imieniu komitetu dla wydarcia Polakom 26 sejmowych mandatów, które oni zrabowali Rusinom".

Ponieważ nie mogę niestety komitetowi, jako bezimiennemu, dać odpowiedzi, przeto w tej drodze zawiadamiam go, że mandatu absolutnie nie złożę, chociaż sobie cenię życie.

Nad życie jednakże cenię sobie obowiązek obywatelski — a ten obowiązek nakazuje mi, pomimo wszelakich gróźb i wyroków, zatrzymać mandat i pracować dla dobra kraju.

Mandatu nie zrabowałem ukraińcom, owszem, głównie ich głosami zostałem posłem, a najlepszym dowodem, że Rusini mają do mnie zaufanie jest, że zostałem później wybrany do Rady państwa z większości, tudzież do Rady powiatowej z kuryi gmin wiejskich.

Wyroku tego naturalnie na seryo nie biorę, znamienne jednakże jest, jakie myśli nurtują w gorących głowach ukraińskich „herojów" i dlatego list ten ogłaszam.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Skarbek.

Kącik językowy.

Milutka, nawet urocza panienka tłomaczy się: *wyszłam z wprawy*, gdy ją proszą, aby zagrała na fortepianie. Śliczne usteczka, a pada z nich wyrażenie nie piękne, nie polskie, bo żywcem z niemieckiego przełożone: *bin aus der Ubung gekommen*. Ale milutka panna Zosia nie ma uporu i przyrzekła, że nadal będzie się wyrażała po polsku: *zatraciłam wprawę*.

Jak drogo to kosztuje? pytają u nas zbyt często, nie zdając sobie z tego sprawy, że to germanizm, a po polsku należy się zapytać: *ile to kosztuje?*

Stary, poważny dziennik, grzesznik niepoprawny, lubuje się w wyrażeniu: *to było łatwe do przewidzenia* i posługuje się niem przy każdej sposobności. Nie może, czy nie chce uznać i przyznać, że to germanizm, bo po polsku mówi się: *to można było łatwo przewidzieć*.

Podobne do tego germanizmu, są takie:

Mam do sprzedania (ich habe zu verkaufen), zamiast: *mam na sprzedaż*

Tu są do nabycia (sind zu bekommen), zamiast: *tu nabyć można*.

Mam wiele do zrobienia, (ich habe viel zu thun), zamiast: *mam wiele roboty*, albo: *wiele robić*.

Zbytecznie posługujemy się zaimkami, gdzie ich wcale nie potrzeba, gdzie nawet myśl wykręcają.

Nie tracą swej żywotności. Poco swej? Wszakże jasne, że cudzej tracić nie mogą, bo cudzą nie władają; zatem wystarczy i należy powiedzieć: *nie tracą żywotności*

To również pod naciskiem germanizmu wyrasta. Niemcy wszędzie i zawsze dodają zaimki, a zwłaszcza dzierżawcze, i w tem mają upodobanie. Niemiec najchętniej powie: „Ich habe *meine* Cigarre ausgeraucht", „*mein* Bier getrunken", *meine* Stiefel angezogen" i t. d. Jakby też to po polsku wstrętnie brzmiało!

Prelegent, zajmujący się **krytyką**, mówi w publicznym wykładzie: *Krzywdę zrobiono poecie*. A z czego ową krzywdę zrobiono i jaki ją zrobił rzemieślnik? Robić, znaczy wykonać coś, z jakiegoś materyału. Kowal robi podkowy z żelaza, szewc robi buty ze skóry, ale *krzywdę można tylko wyrządzić*.

Postanowił wyjechać, nie doszło jednak do tego. Tak się wyraża pewien literat. Czegóż spodziewać się od nie literatów? Czysty germanizm: „es kam aber nicht dazu". Polak zadaje sobie pytanie, *co* tu miało *dojść*, a do *kogo*, czy do *czego*. Właściwością naszej mowy: jasność, prostota. — Łamańców retorycznych Polak nie używa, to też powiedziałby po prostu: *Postanowił wyjechać, ale nie wyjechał (wyjechać nie zdołał, nie mógł, nie zdążył*.

I z tego odnieśli korzyść. (Nutzen davontragen). A dokądże ją odnieśli i w czem? Po polsku dziwoląg, urosły na germańskim zagonie. Należy powiedzieć: *i z tego mieli korzyść*.

Znowu dziennik (ale to już niemal każdy), *wychodzi z tego punktu widzenia*. Dosłowne tłomaczenie z niemieckiego, jakby ktoś przełożył przysłowie „*Man muss sich strecken nach den Decken*" dosłownie, i powiedział: „*Trzeba się wyciągać podług kołder*, zamiast: „Podług stawu grobla", lub: „Tak krawiec kraje, jak materyi staje". Po polsku *nie wychodzi nikt z tego punktu widzenia*, jeno: *ma takie zapatrywanie*, lub: *tak się zapatruje*.

To lekarstwo wskazanem być może. No, prawda, lekarz je może wskazać palcem w aptece, jeżeli tam już sporządzone, ale chory chciał wiedzieć, czy dla niego przydatne. A! tak? Toć należało powiedzieć: „*To lekarstwo zalecić należy* (*można, wypada*,) lub „*to lekarstwo może być pożyteczne* (*skuteczne*")

To mu przyniosło zaszczyt. — (Ehre bringen). Po polsku: „*To mu wyświadczyło zaszczyt*", „*to było dlań zaszczytem*".

Pomagamy Prusakom, Moskalom poniewierać mowę ojczystą! Zawsze według Słowackiego: „Polsko! pawiem narodów jesteś i *papugą*."!

Cz. P.

ZE „STRAŻY".

Sprawozdanie z działalności Koła Pań „Straży Polskiej" za czas od 12-go grudnia 1910, do dnia 1-go stycznia 1912 r. Dnia 12 grudnia 1910 r. odbył się wybór nowego Wydziału i Przewodniczącej.

Na najbliższem posiedzeniu, dnia 15 grudnia, nowo obrany Wydział podzielił się na 3 sekcye: ekonomiczną bojkotową i przemysłową.

Sekcya ekonomiczna, chcąc przysporzyć funduszów na pokrycie deficytu sklepowego, wzięła udział w loteryi T. S. L, a urządziwszy własny stolik, zebrała kwotę 340 K, z których 100 K wypłaciła Zarządowi Głównemu, 40 K dla T. S. L, za pozwolenie wzięcia udziału w loteryi a 200 K przeznaczono na pokrycie długu zeszłorocznego, poczem zajęły się panie wysprzedażą pozostałych kapeluszy, przez co rachunki w zupełności wyrównane zostały.

Drugą czynnością sekcyi było wyjednanie zniżek cen u wielu firm kupieckich, dla członków "Straży Polski j", udzielając im 5%, a nadwyżkę obracając na potrzeby Koła. Dogodność ta jednak nie była zbyt ponętną dla Członków i bardzo nie wielu z niej korzystało, to też nadwyżka wynosi zaledwie 9 K 91 h.

Również sprzedaż widokówek przyniosła zaledwie nadwyżkę 7 K 4 h.

Podczas uroczystości grunwaldzkich zajęły się Panie, z wielkim trudem i mozołem, zbieraniem składek na cele Zarządu Głównego, i to z bardzo pomyślnym rezultatem, za co im jeszcze raz podziękowanie wyrazić należy.

Sekcya bojkotowa chcąc zapobiedz, abyśmy się nie łamali pruskimi opłatkami, zwiedziła zaraz w grudniu wszystkie parafie i dowiedziała się u XX proboszczów, że kościelni znów się zabrali do wypiekania opłatków i czynią to w takiej ilości, iż wystarcza na potrzeby miasta, a od nich odkupują kramarze. Porozumiała się również z fabrykantem . . . . . . w Wadowicach, który zapewnił, że wyroby swoje rozsyła po prowincach, a więc przypuszczać należy, że import z Prus albo ustał zupełnie, albo się znacznie zmniejszył. W tej myśli dała też odpowiedź Towarzystwu bojkotowemu we Lwowie, zasięgającemu w tym względzie informacyi od Koła Pań.

Prócz tego sekcya bojkotowa odwiedziła wiele firm kupieckich, prosząc i upominając panów kupców, aby na pierwszem miejscu podawali publiczności wyroby krajowe, a dopiero na wyraźne żądanie, zagraniczne.

Chcąc poprzeć swoją akcyę, podała Sekcya bojkotowa do druku listę najpotrzebniejszych wyrobów krajowych i rozdała ją, tak między Członków, jak i kupcom, aby z jednej strony publiczność wiedziała, jakich wyrobów krajowych może żądać, a z drugiej strony, czego kupcy są obowiązani dostarczyć publiczności.

Przyłączyło się również Koło Pań do akcyi bojkotowej Koła Akademickiego, zakładającego sklepik udziałowy wyrobów krajowych, przez wzięcie 5 udziałów za kwotę 50 K.

Sekcya przemysłowa wydała odezwę w dziennikach, popierając pletnie krzeszowickie i pięknie z nich wyrobione kapelusze, których wystawę zareklamowała między publicznością odezwa w dziennikach.

Nadto zwróciła uwagę na dział towarów trykotowych jak pończoch, sweaterów i t. p. dotąd u nas nie wyzyskany należycie, a za który wiele pieniędzy idzie za granicę. Chcąc temu zaradzić, postanowiła Sekcya przemysłowa zorganizować tutejsze pończoszarki, i w tym celu urządziła osobne posiedzenie dnia 18 lutego. Wysłano kilkanaście imiennych zaproszeń, na które zgłosiły się za edwie trzy panie i to z Podgórza. Przy tak małej ilości osób, trudno było myśleć o organizacyi.

Sekcya jednak nie poprzestała na tem, tylko jednej z tych pań, posiadającej maszyny, starała się o pracownię, dla drugiej zaś, potrzebującej pomocy Wydziału krajowego do zakupna maszyn, podejmowała wszelkie usiłowania aby jej dostarczyć potrzebnego kapitału, ale niestety bezskutecznie.

W trakcie tego Liga P. P. urządziła kurpończoszarstwa, jej więc pozostawiła sekcya dalszą akcyę w tym kierunku, jako Stowarzyszeniu rozporządzającemu większymi środkami materyalnymi. Za swoje usiłowania, w celu podniesienia i rozszerzenia wyrobów krajowych, otrzymało Koło Pań list pochwalny od komitetu Wystawy w Dębicy.

Prócz tego cały Wydział zajął się jeszcze innemi sprawami, obchodzącemi ogół społeczeństwa. Tak ciągle powtarzające się samobójstwa młodzieży, bolesnem echem odbiły się w sercach Pań, zwołały więc osobne posiedzenie dnia 20 czerwca, na które zaprosiły wielu profesorów i katechetów, z którymi radziły nad zapobieżeniem złemu, czyniąc różne wnioski i nabrały przekonania, że należy zmienić zbyt miękkie wychowanie młodzieży. Po przerwie wakacyjnej czteromiesięcznej, rozpoczął Wydział swoją działalność zaprowadzeniem niedzielnych pogadanek z historyi polskiej: dla sług, zbierających się w niedzielę popołudniu w III-ciej Ochronce, aby obudzić w nich poczucie narodowe i skłonić do tego, aby przy zakupach pamiętały o wyrobach krajowch.

Uznając zasługi ks. Caputy i wiceprezydenta Szarskiego, w zachowaniu polskiego charakteru naszego miasta, wysłał Wydział adres dziękczynny do tychże panów, z podpisami wielu członków Koła.

Na wiadomość o zaszczycie, jaki spotkał naszą rodaczkę p Curie-Skłodowską, wydał Wydział odezwę do kobiet polskich, aby we wspólnym telegramie przesłały jej wyrazy hołdu za chwałę, jaką okryła nasz naród.

W ostatnich czasach zwrócił Wydział uwagę na sprawy śląskie, a widząc, że tam należy wytężyć wszystkie swe siły, na obronę tak zagrożonych germanizacyą i czechizacyą kresów zachodnich, a nie mogąc dla braku środków sam zająć się tą akcyą, przyłączył się do akcyi T S. L biorąc udział w loteryi i w ten sposób przysparzająo dochodu 216 K na otwarcie szkoły gospodarczej w Orłowej, a zarazem wysłał delegatkę na otwarcie tejże szkoły. Delegatka przemówieniem i darem dała wyraz gorącym uczuciom patryotycznym, jakiemi serca Koła Pań S. P. są przepełnione. Prócz tego delegatka nawiązała stosunki z paniami śląskiemi w tym kierunku, aby, jeżeli zauważą jaką placówkę, możebną do zajęcia przez osobę narodowości polskiej", dawały o tem znać do „Straży polskiej, która postara się o osoby przejęte duchem patryotycznym i chcące, prócz zawodowej pracy, rozszerzać ciepło miłości dla kraju wśród sfer, w których obracać się będą, aby tym sposobem przeciwdziałać robocie wrogów naszych.

Na zakończenie całorocznej pracy, proponuje przewodnicząca, aby pozostałość kasową przesłać

na uratowanie Domu polskiego w Białej, wystawionego na licytacyę, mającą się odbyć w przeciągu dwóch tygodni.

Sprawozdanie kasowe za czas od 12 grudnia 1910 do 1 stycznia 1912.

Przychód:

Pozostałość kasowa z r. 1910 . .	
Wkładki członków	435 K — h
od kwitków	9 „ 91 „
Za widokówki	7 „ 04 „
Dary	2 „ 20 „
Razem . . .	464 K 15 h

Członków zwyczajnych było 128, powiększyła się więc liczba od roku 1910 o 10.

Rozchód:

Pokrycie deficytu	100 K — h
Zarządowi Głównemu	100 „ — „
Kołu Akademickiemu	50 „ — „
Kursorowi	19 „ 60 „
Dar dla szkoły w Orłowej i koszta podróży	25 „ 60 „
Telegram do p. Curiè	4 „ — „
Petycya o prawo wyborcze . . .	1 „ 45 „
Wydatki administracyjne	44 „ 95 „
Saldo	108 „ 53 „
Razem . . .	454 „ 15 „

Prezesowa	Wiceprezesowa
Lambertowa	*Maryewska*
Sekretarka	Skarbniczka
Wolińska	*Jaszczurowska*

Walne Zgromadzenie Akademickiego Koła Straży Polskiej odbyło się w uniwersytecie dnia 2 lutego 1912 r. Sprawozdanie ustępującego Zarządu Koła, świadczy o gorliwej pracy, której najważniejszym owocem było, między innemi, założenie sklepu w uniwersytecie, zorganizowanie wycieczek, podczas wakacyj, celem zapoznania się z krajem ojczystym, i urządzanie odczytów: „O bojkocie i potrzebie popierania przemysłu polskiego“. Po udzieleniu absolutoryum ustępującemu Zarządowi, przystąpiono do wyboru nowego. Wybrani: Stefan Podworski — na wiceprezesa, a członkami: Gottel Włodzimierz, Marcoin Helena, Obrabański Adam, Puszyński Antoni, Piwnicki Stefan, Rumiński Zygmunt, Singer Kazimierz. Członkami komisyi kontrolującej wybrani zostali: Dubiecki Tadeusz, Konieczny Stanisław, Sołtysik Józef; zastępcami tychże: Brzozowski Stanisław, Szafraniec Jan. Wybór prezesa odłożono do nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia, które w tym celu ma być zwołane w najbliższym czasie.

„Pląsy“, urządzone staraniem akademickiego Koła „Straży Polskiej“ dnia 12 lutego 1912 r. zgromadziły, jak w roku ubiegłym, liczną publiczność.

Komitet przygotował oryginalne odznaki kotylionowe, ze wstążek krajowej fabryki jarosławskiej, które w czasie kotyliona wniesiono na salę, przy dźwiękach pobudki. Kokardami opięto bęben, który wniósł członek komitetu, ubrany w kostyum dobosza pułku czwartaków, rozdawał je zaś drugi członek komitetu, przebrany w kostyum oficera czwartaków. Karnety ślicznie malowane, przez akademika Alfreda Birkenmayera, wywołały ogólny podziw.

Po staropolskim tradycyjnym polonezie, zabawa potoczyła się hucznie i wesoło. Do pierwszego kadryla stanęło około 100 par. Tańcami kierował, jak zawsze z werwą, prof. Dr. Karol Dawidowski, oraz akademik Stanisław Wojewski i Aleksander Chilewski. Ochocza zabawa trwała do siódmej rano. Nastrój panował nadzwyczaj wesoły i widać było ogólne zadowolenie obecnych.

Z radością też zaznaczyć należy, że „Pląsy“ powiększyły fundusze Akadem. Koła „Straży Polskiej“, przeznaczone na cele bojkotowe, a to dzięki datkom, które na cele „Pląsów“ złożyć raczyli JWP. Bohdanowiczowa Tadeuszowa, Chmurska Anastazowa, Czubkowa Janowa, Dawidowska Andrzejowa, Emilewiczowa Józefowa, Fierichowa Xawerowa, Godekowa Aleksandra, bar. Jan Götz Okocimski, Hanowa Robertowa, Jaszczurowska Tadeuszowa, Korczyńska Emilia, Krzyżanowski Kazimierz, Kwaśnicka Augustowa, Lambertowa Emilia, Łuczkowa Karolowa, Marcoinowa Tadeuszowa, Mossoczowa Władysławowa, Piaseccy Adamowie, Pieniążkowa Czesławowa, Przewłocka Konstantynowa, Rożnowska Stanisławowa, Satalecey Wincentowie, Solski Ludwik, Szarska Henrykowa, Szymański Jan, Tenczyński browar akcyjny, Wicherkiewiczowie Bolesławowie, Zieleniewska Edmundowa.

Sprawozdanie Akademickiego Koła „Straży Polskiej“, za czas od 1 marca 1911, do 1 lutego 1912 r.

Z pośród akcyi bojkotowej, w roku sprawozdawczym, na plan pierwszy wysuwa się założenie sklepu w Uniwersytecie. Z dawna już podnoszono tę sprawę na posiedzeniach Wydziału, wreszcie Wydział opracował regulamin dla Sekcyi sklepowej, który, na ostatniem Walnem Zgromadzeniu, członkowie Koła do wiadomości przyjęli. Rozpoczęły się pertraktacye z fabrykami, które okazały nam nadzwyczajną życzliwość, uwzględniając wyjątkowe warunki, wśród jakich sklep nasz powstał. Zaufania też, jakie położyli w nas fabrykanci, udzielając dłuższego i wygodnego kredytu, nie nadużyliśmy nigdy, starając się i owszem o jak najrychlejsze spłacanie rachunków. Uzyskawszy następnie pozwolenie Magistratu, na podstawie poprzednio już uzyskanego zezwolenia Wysokiego Senatu Uniw. Jag., za które deputacya Zarządu naszego Koła złożyła na ręce JWP. Rektora Szajnochy podziękowanie, otwarto dnia 25 września 1911 roku sklep z przyborami piśmiennymi w Uniwersytecie.

Sekcya sklepowa, zorganizowana pod kierunkiem kol. Stanisława Menharda, objęła sklep, wybierając skarbniczką kol. Helenę Marcoin, korespondentem kol. Łossowskiego Franciszka. Prócz tego należeli do Sekcyi: kol. Antoni Puzyński, Stanisław Dręgowski i Zygmunt Rumiński, oraz prezydum Koła. Sprzedaż z początku odbywała się rano przez członków samej Sekcyi, w miesiącu listopadzie sprawował ją kol. Paweł Woźniczka także i popołudniu, za umownem wynagrodzeniem. Ruch w sklepie był znaczny i jak sądzimy będzie się stale powiększał, poza tem Sekcya sklepowa wdzięczne ma pole do pracy dalszej: nad rozszerzeniem sklepu i zakładaniem filij.

Ze założenie sklepu zaliczyliśmy do działalności bojkotowej zupełnie zrozumiałe. W zeszłorocznem sprawozdaniu obszernie już mówiliśmy o naszych zamiarach i dążeniu do założenia sklepu. Przyczem przedstawiono w jaki sposób, zapomocą pożyczek, zebrać zamierzył Zarząd fundusze.

Dziś usiłowania te mamy już poza sobą i możemy stwierdzić, że nie szliśmy błędną drogą; owszem ta właśnie, którą obraliśmy po dłuższem doświadczeniu, jest jedyną, na której bojkotu towarów pruskich racyonalnie da się dokonać, za zasadę bowiem powzięliśmy sobie, że sprzedawać będziemy w sklepie jedynie wyroby polskie.

Łącznie z tą działalnością przedstawić należy działalność sekcyi bojkotowo-odczytowej. Sekcya ta zdołała również przeprowadzić jeden ze swych ważnych postulatów t. j. zorganizować odczyty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.